TYTUS, ROMEK i A'TOMEK

Za 3 dni nowy numer! Ciekawy! Z niespodzianką

ŚWIAT MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 103/4 (1364/5 25—29 grudnia 1964 r. Cena 90 gr

Warszawa, ul. Mokotowska 24

DZIŚ W NUMERZE:

- Wyspa złoczyńców
- Mecz mózgów
- Beatlesi
- Walka o Rubensa
- Makary i góra
- Klub Tytusa
- Kapelusz za sto tysięcy
- oraz inne ciekawe rzeczy

ZDOBYCIE ZAMCZYSKA

W PIESKOWEJ SKALE

RUSZYSZ, Ambroży Kropko! — rzekł mi mój szef, niewiele myślący, zakąszając każde słowo jabłkiem soczystym „szara reneta".

— Ruszę — odparłem — ale czym?

— Najpierw pociągiem, potem zamkiem, potem dowcipem, potem ruszysz kilka razy migawką aparatu fotograficznego, a na samym końcu ruszysz swoim znakomitym piórem i w ten sposób wywołamy ogromne poruszenie, bo nie każdy wie, że najpiękniejszym zamkiem piastowskim na „Szlaku Orlich Gniazd" jest zamek w Pieskowej Skale.

Ruszałem dotychczas rozmaitymi zamkami i w rozmaitych drzwiach, ale ruszać zamkiem w skale, to — przyznam szczerze — dotychczas nie miałem okazji.

Skorzystałem z niej zatem skwapliwie i ruszyłem najpierw pociągiem do Krakowa, potem autobusem do Ojcowa, a potem długo ruszałem nogami, bo do miejscowości Pieskowa Skała wyruszyłem z Ojcowa „autobusem".

FABRYKA CIEKAWYCH RZECZY

WODOSZCZELNY BAŁTYK

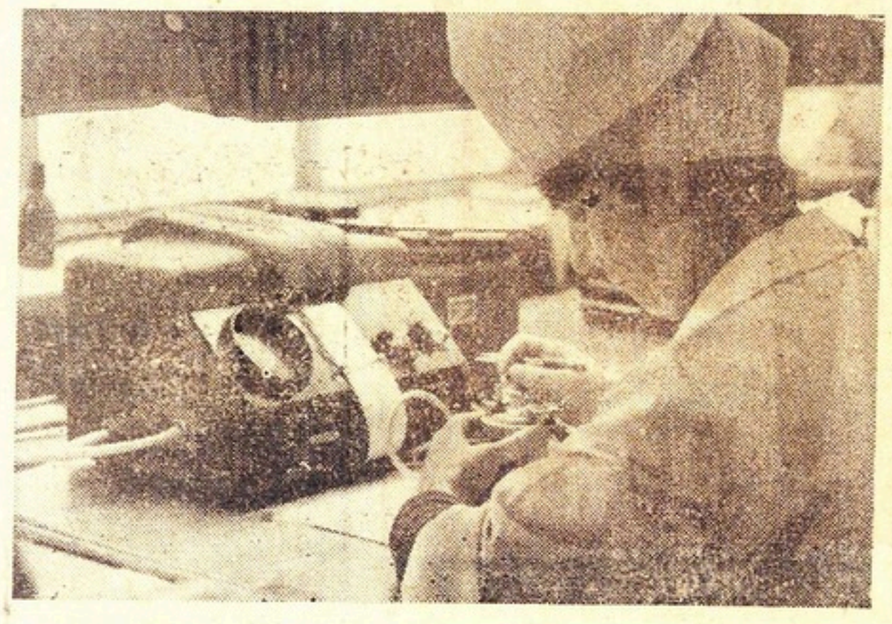

Kobiety, które w tej fabryce stanowią większość, pracują w białych czepcach na głowie. Ani jeden pyłek nie może znaleźć się w mechanizmie zegarka. Jest rzeczą zrozumiałą, że w takim zakładzie obowiązuje wprost aptekarska czystość.

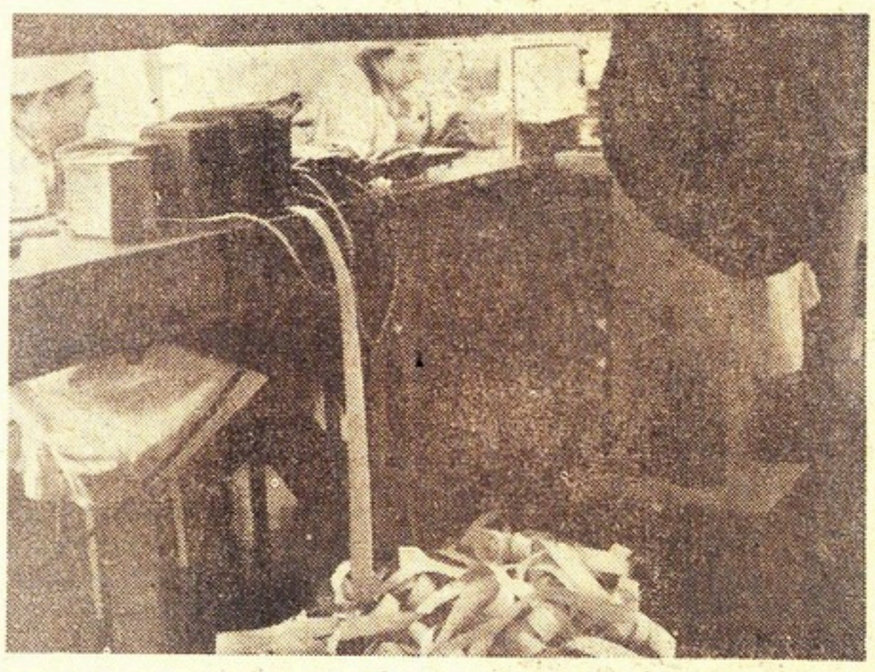

Na tym stanowisku ustala się długość włosa, który reguluje z kolei szybkość „chodu" zegarka. Elektronowa maszyna kontrolna rejestruje wynik na białej taśmie.

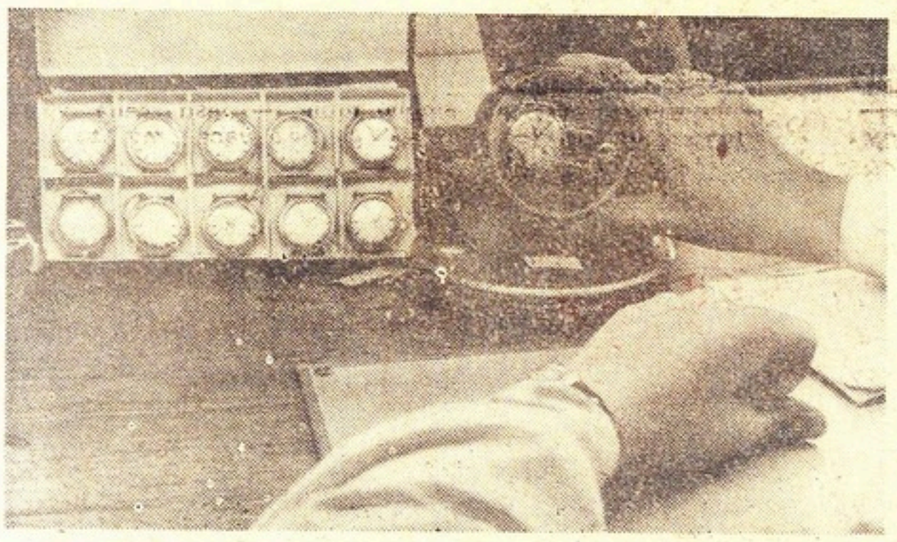

Zegarek chodzi różnie w każdej pozycji. Inaczej w zimie, inaczej w lecie, inaczej położony na szkiełku, inaczej tarczą do góry. To urządzenie ustala, w jakiej pozycji zegarek chodzi najdokładniej.

NIGDY nie myślałem, że „Bałtyk" może być wodoszczelny. Wodoszczelny? Czy to znaczy, że woda nie wylewa się z niego na morski brzeg — albo że rzeki do niego nie wpływają?

„Nie, czegoś tu nie rozumiem" — pomyślałem sobie, kiedy pan Franciszek Wiśniewski z Zakładów Mechaniczno-Precyzyjnych w Błoniu opowiadał mi o wodoszczelnym Bałtyku.

Odłożyłem na razie jednak tę wątpliwość, obiecując sobie, że poproszę później o wytłumaczenie mi tych tajemniczych słów.

Znajdowaliśmy się w hali montażowej zakładu, który jako jedyny w Polsce produkuje naręczne zegarki „Błonie". Nasza rozmowa o zegarkach zahaczyła o starożytny Egipt i Grecję, a także o Szwajcarię, która dziś słynie z produkcji zegarków.

— Produkcję „Błonia" rozpoczęliśmy w 1959 roku na licencji radzieckiego zegarka „Kirowskij" — powiedział mi mój rozmówca — i do dziś Związek Radziecki dostarcza nam wszystkich części. Jednak już w 1970 roku zejdzie z taśmy pierwszy zegarek całkowicie wyprodukowany w kraju.

Sztuczny kogut i „norymberskie jajo"

DAWNO temu, kiedy człowiek odmierzał pory dnia przy pomocy patyka wetkniętego w ziemię, czas nie był tak drogi jak dziś. Dzieci nie śpieszyły się na ósmą do szkoły, a dorośli nie pędzili wtedy np. do pociągu. Patyk wystarczał, mimo że z nastaniem zmroku słoneczny zegar zasypiał razem z ludźmi. Wtedy określano czas według wędrujących po niebie gwiazdozbiorów.

— Aha — mówił wówczas człowiek. — Gwiazdozbiór Smoka jest nad dębem, trzeba się zbierać do pracy, za dwie — trzy godziny świt.

Niedokładny to był pomiar czasu. Wymyślano więc dokładniejsze zegary. Jednym z nich była klepsydra — naczynie z otworem napełnionym wodą. Woda wyciekała kroplami przez otwór, umieszczony w dolnej części naczynia. Czas odczytywało się przy pomocy kresek, znajdujących się wewnątrz. Taki wodny zegarek „nakręcało" się zawsze o jednej porze dnia, dolewając do naczynia wody. Wymyślano również klepsydry, spełniające rolę „sztucznych kogutów", budzące śpiochów strumieniem wody z „zegarka".

Wiele kropli wody spadło z klepsydr, zanim powstał pierwszy zegarek sprężynowy. Wykonał go w 1510 roku Petrus Hele — mieszkaniec Norymbergi. Zegarek Petrusa Hele chodził 40 godzin bez nakręcania sprężyny. Norymberskie zegarki podobne były kształtem do jajka, tyle tylko, że większe kilkakrotnie, no i niezmiernie ciężkie. Za bogatymi mieszczuchami (oni tylko mogli pozwolić sobie na posiadanie tego luksusu) pachołkowie nosili owe zegareczki, aby pan sie nie męczył.

Nasze „Błonie" jest w porównaniu z „norymberskim jajem" prawdziwym liliputem!

Pierwszy polski zegarek

STOJĘ przy pierwszym stanowisku. Młoda dziewczyna wprawnym ruchem wkręca mikroskopijnej wielkości śrubeczkę do pustego jeszcze szkieletu zegarka. W kilka sekund później szkielet z wkręconą śrubką leży już na następnym stoliku. Dokonuje się tam kolejnej „operacji".

— Począwszy od tego stanowiska — mówi pan Wiśniewski — zaczyna drgać serce zegarka czyli włos! Włos musi być bardzo sprężysty i prosty. Od jego długości zależy, czy zegarek spieszy się, czy też opóźnia.

I znowu zegarek wędruje dalej. Coraz to nowe elementy zajmują swoje stałe miejsca w mechanizmie. Jeszcze tylko ostatnia czynność — włożenie zegarka do metalowej koperty, założenie szkiełka i przyłączenie kartonika z pieczęcią kontroli technicznej. Teraz „Błonie" czeka już tylko na klienta.

Elektryczny kontroler

NIEZWYKLE małe części zegarka wymagają przy montażu dokładności, sięgającej setnej części milimetra. Zegarek posiada 148 detali. Przy jego wyprodukowaniu trzeba wykonać 2442 czynności. Głównie są to czynności szlifierskie (260), tokarskie (146), a także tłoczenia (92). Aż 592 razy przechodzi zegarek przez stanowiska kontroli technicznej! Na stanowiskach tych zainstalowane są elektronowe maszyny. Przy takiej dokładności oko największego nawet geniusza, obdarzonego sokolim wzrokiem, nic nie wskóra.

Na jednym ze stanowisk kontrolnych zainstalowano urządzenia, powiększające mechanizm zegarka kilkadziesiąt razy. Na ekranie urządzenia widać ogromne tryby, jakby na pulpicie leżał nie mały zegarek na rękę, a wielka koperta. Przy takim powiększeniu oko kontrolera wykryje wszystkie błędy i niedopatrzenia.

Z wylotów elektronowych kontrolerów wybiegają długie wstęgi białego papieru, zadrukowanego niewielkimi prostymi kreskami. Trzeba dobrze znać język maszyny, aby zrozumieć jej informację, aby z układu kresek wywnioskować, czy mechanizm zegarka jest w porządku, czy też nie.

I tak doszedłem do rozwiązania owej tajemniczej zagadki z wodoszczelnym „Bałtykiem".

— Proszę, niech pan zobaczy, to właśnie on.

Pan Wiśniewski bierze z ostatniego stanowiska kontroli technicznej płaski, złocony zegarek.

— Wodoszczelny „Bałtyk" będzie w sprzedaży dopiero za kilka tygodni. To zegarek nie tylko wodoszczelny, ale i antymagnetyczny, i antywstrząsowy. Reprezentuje on dobry światowy poziom. „Bałtyk" jest naszym ostatnim osiągnięciem.

W jednej chwili przebiegłem myślą całą historię zegarka od patyka wetkniętego w ziemię przez dziurawy garnek — klepsydrę do „norymberskiego jaja". Ile wieków musiało upłynąć, aby pan Wiśniewski mógł powiedzieć:

— „Bałtyk" jest antywstrząsowy — można go upuścić na ziemię i nic mu się nie stanie. „Bałtyk" jest wodoszczelny — można się z nim kąpać, bez obawy zalania wodą mechanizmu. „Bałtyk" jest antymagnetyczny — żaden magnes nie potrafi zahamować biegu zegarka.

Z wyższością pomyślałem sobie raz jeszcze o norymberskim mieszczuchu, za którym pachołek nosił ciężkie „jajo - zegarek".

Tekst i zdjęcia
WIESŁAW HUDON

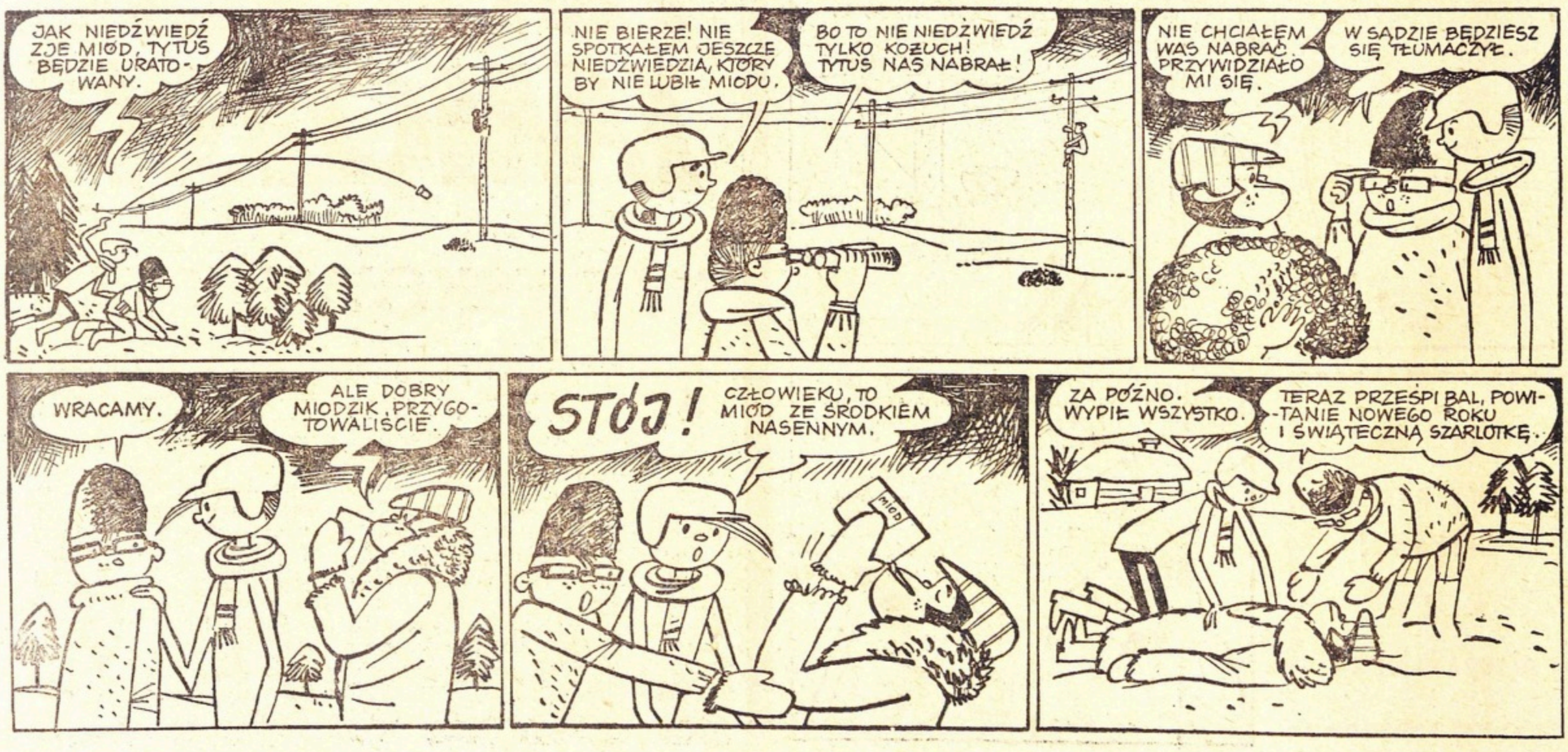

WSZYSCY CZYTELNICY NA START!

MECZ MÓZGÓW — rozpoczęty!

DZIS — już po raz trzeci — rozpoczynamy pojedynek mózgów, w którym zmierzą swoje siły dwie wielkie drużyny — „ŻUBRY PÓŁNOCY" i „ORŁY POŁUDNIA". „Żubry" — to wszyscy nasi czytelnicy z północnej części Polski, natomiast „Orły" — wszycy czytelnicy z części południowej. A więc i Ty należysz do jednej z tych drużyn — i będziesz walczył o jej zwycięstwo. Żeby być „Orłem" albo „Zubrem", nie trzeba się nigdzie zgłaszać albo zapisywać! Należy tylko rozwiązać zadania Meczu Mózgów i nadesłać je do redakcji.

W ciągu dwóch poprzednich lat Mecz Mózgów wygrały „Orły". A więc dotychczasowy wynik brzmi 2:0 dla „Orłów". Co będzie w tym roku? Jeszcze zaciętszy pojedynek! Zwycięstwa życzymy obu drużynom!

Przeczytaj regulamin Meczu na następnej stronie.

ROZWIĄŻ KONKURS NA str. 5

WYSPA ZŁOCZYŃCÓW

Z GŁĘBI LASU biegnie gruby harcerz. Ogląda się za siebie, jakby go kto gonił. Naprzeciw niego wychodzą „Sokole Oko" i „Wiewiórka". **Za nimi „Tell" z wyciągniętą do przodu kuszą, gotową do strzału.**

TELL: Witamy druha Łakomczucha. Teraz wyśpiewasz, bratku, dokąd odbywasz tajemnicze wyprawy.

GRUBAS: Znalazłem w lesie maliny...

WIEWIÓRKA: I nikomu o tym nie powiedziałeś? Sam się obżerasz malinami?

TELL: Prowadź nas na maliny!

GRUBAS: Już tam więcej nie pójdę! Za nic na świecie nie pójdę... Tam straszy! — oczy grubasa są okrągłe z przerażenia.

TELL: Co takiego?

GRUBAS: Maliny rosna koło bunkra... a w bunkrze coś stęka i jęczy...

TELL: Prowadź!

Wejście do bunkra. Betonowe drzwi. Usypisko porośniętej krzakami ziemi. Harcerze stoją na wprost wejścia. Grubasowi drżą ze strachu nogi.

Drzwi się otwierają i odsłaniają mroczne wnętrze bunkra. Sypią się kamienie. Słychać słabe jęki. Grubas rzuca się do ucieczki, za nim uciekają „Wiewiórka" i „Sokole Oko". „Tell" goni ich. Krzyczy:

— Tchórze! Zajęcze serca!

GRUBAS: Boję się... boję...

TELL: Nie splamimy się tchórzostwem, wracamy!

Tell z kuszą w ręku przegania „Wiewiórkę", „Grubasa" i „Sokole Oko". Zagradza im drogę. Zatrzymuje się. Zdyszany, nie może złapać tchu:

— Wracamy!

Otwarty bunkier zieje mrokiem. Tell z naciągniętą kuszą przybliża się, staje na wprost bunkra. Za nim pozostali. „Sokole Oko" wyciąga małą finkę.

WIEWIÓRKA: Nie wchodźmy, to może być legowisko dzikiego zwierza!

TELL: Zajęcze serca...

Światło latarki Tella natrafia na związane nogi, na twarz zakneblowaną czarną chustką... Tell podchodzi bliżej. Leżąca postać wydaje słabe jęki...

*

BYŁ TO FRAGMENT scenopisu nowego filmu dla młodzieży, który już wkrótce będziecie mogli obejrzeć w kinie. Nie mogę zdradzić wam tajemnicy, kogo znaleźli harcerze w bunkrze, i co stało się dalej. Zabronił reżyser.

Natomiast z czystym sumieniem mogę wam wyjawić, iż po przeczytaniu (z zapartym tchem) całego scenopisu doszłam do wniosku, że „Wyspa złoczyńców" na pewno wam się spodoba. Będą tam bunkry z zakopanym skarbem, ruiny zamczyka, cmentarz, obóz antropologów, rzeka, las, skały. Będzie dużo przygód, emocji i sensacji. Trzej harcerze pomogą w wykryciu straszliwej zbrodni, a przeprowadzone badania antropologiczne i detektywistyczne, poszukiwania Tomasza (pracownika muzeum) i „Zaliczki" (dziewczyny z obozu antropologów) pomogą wykryć i udowodnią winę przestępcy.

Film jest już prawie ukończony. Trwają jeszcze prace nad udźwiękowieniem.

— Jeśli chce pani zobaczyć, jak wygląda praca nad synchronizacją dźwięku w filmie, zapraszam panią do mikserni — powiedział drugi reżyser filmu p. Zbigniew Lewicki.

— To pewno chodzi o postsynchrony, tzn. nagrywa się dialogi bohaterów na osobną taśmę, tak? Już to widziałam.

— Nie. Nagrywanie dźwięku to inna sprawa. Robi się to niezależnie od dialogów, to właśnie wszystkie szmery, stuki, strzały, pluski, kroki i inne dodatkowe efekty. Zresztą za chwilę pani sama to zobaczy i usłyszy!

Oto ruiny zamku na wyspie. Jakie tajemnice wykryją w tych ruinach trzej harcerze?

Joanna Jędryka i Jan Machulski — to główni bohaterowie filmu. Samochód, którym jadą, odegrał w akcji także niepoślednią rolę.

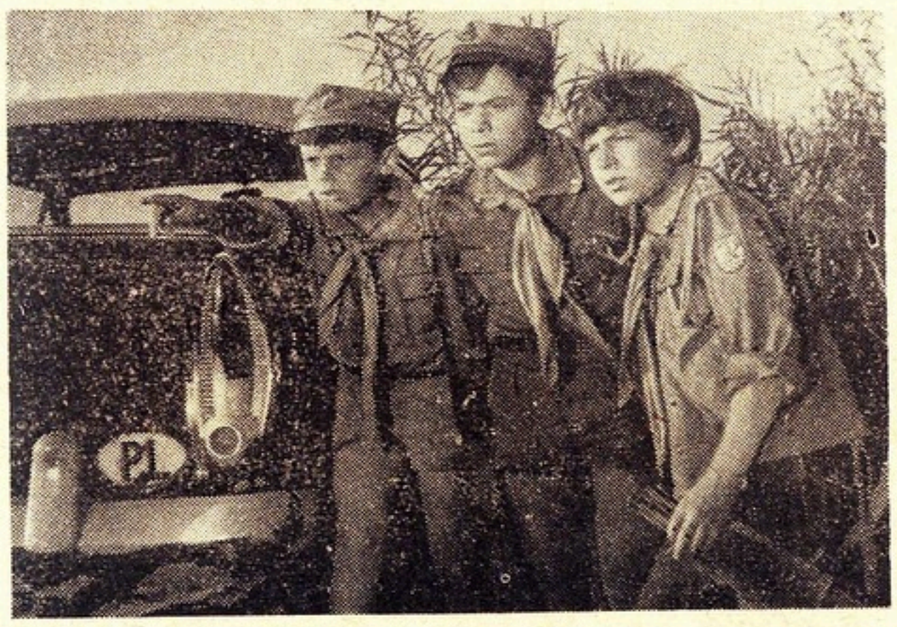

Tropiciele złoczyńców, czyli w cywilu Grzegorz Lipsok, Ryszard Gębicki i Maciej Błażejewski, uczniowie warszawskich szkół

Fotosy: Zespół „Rytm"

Weszliśmy na niewielką salkę projekcyjną. Z tyłu znajdowała się oszklona kabina inżyniera dźwięku. Siedział on przed tablicą pełną guzików i wyłączników. Gdy mówił do mikrofonu, głos jego rozlegał się po całej sali. Przed nami jaśniał ekran kinowy.

Na podłodze zobaczyłam rozłożoną brezentową plandekę. Na niej dwa cebrzyki wody. Nad cebrzykami pochylali się, odziani w nieprzemakalne płaszcze, pani Zenka i pan Zygmunt. Nie zdążyłam spytać, co za obrządki będą tu odczyniać, gdy nagle usłyszałam głos inżyniera z mikserni:

— Prosimy na ekran pierwszą sklejkę!

Światło zgasło. **Na ekranie pojawił się fragment filmu.** Tomasz wraz z Zaliczką w pogoni za uciekającym motorówką przestępcą.

Obraz szedł na niemo. Nie słyszałam ani głosu aktorów, ani muzyki, ani warkotu motorówki, czy plusku wody.

— Właśnie teraz nagramy plusk wody i warkot motorówki — szepnął mi reżyser. — Proszę uważać!

W momencie gdy na ekranie motorówka przepływa rzekę, usłyszałam chlupanie i plusk wody. To pan Zygmunt zanurzył ręce po łokcie w cebrzyku i „czynił okropny chlap". Pomagała mu dzielnie pani Zenka, tłukąc w wodę jakimś drzewem. Ktoś za nimi terkotał po cichu czymś w rodzaju kołatki. Po chwili, gdy obraz na ekranie zniknął i gdy zapaliło się światło, zobaczyłam zalaną wodą podłogę (od tego właśnie ochronna plandeka) i mokrych „imitatorów".

— Powinno być dobrze — powiedział pan Zygmunt. — Nie chciałbym powtarzać tego ujęcia... Nie lubię wody...

— Przesłuchamy, jak to wyszło! — zawołał inżynier.

Znowu puszczono obraz na ekran, ale tym razem już z dźwiękiem. Nagrane przed chwilą na taśmie chlupotanie wody towarzyszyło płynącej i terkoczącej motorówce. Wydawało mi się, że zgranie obrazu z dźwiękiem jest idealne, ale reżyser zawołał:

— Powtarzamy! Plusk należy ściszyć, gdy motorówka się oddala. Poza tym za głośno wypadła pierwsza fala. — Jeszcze raz nagrywamy!

Znów ciemno, znów ten sam obraz na ekranie, szamotanie się w cebrzyku pana Zygmunta i Zenki. I znów powtórka... I jeszcze raz, i jeszcze. Pracownicy techniczni przynoszą nowe wiadra. Dolewają do cebrzyków. „Toniemy" prawie wszyscy w porozlewanej wodzie...

Następną sklejką, którą udało mi się zobaczyć podczas nagrywania do niej dźwięku, była wyprawa chłopców do ruin zamczyska, oraz wykrycie przestępcy w jego kryjówce.

W tych scenach było znacznie więcej dramatycznych momentów, ale też i dużo ciężkiej pracy przy imitowaniu dźwięków.

Ekipa najpierw wyjęła kilka desek z... podłogi. Pod spodem zobaczyłam piasek, suche liście, cement, żwir, kamienie, jakieś patyki, gałązki...

— To podłoże, po jakim chodzą w filmie bohaterzy — objaśniono mnie. — Jeśli scena odbywa się na łące, my tutaj depczemy piasek, gdy w ruinach — skaczemy po kamieniach itp...

Na ekranie już widzę chłopców wędrujących do zamku. Spod ich nóg lecą kamienie. Chłopcy chwytają się gałązek. leci gruz, żwir... Tu, na sali, pan Zygmunt biega i depcze podobne kamienie. Pomocnicy grzechocą odłamkami skał, przesypują żwir, sypią piasek. Pani Zenka łamie suche gałązki, które trzeszczą...

Po chwili dźwięk jest nagrany. Znów sprawdzanie. Okazuje się, że gruz na ekranie sypie się wcześniej, niż zrobili to przed chwilą imitatorzy. Trzeba powtarzać! Przecież dźwięk sypiących się kamieni musi zgadzać się z obrazem.

Do równie kłopotliwych sytuacji należało tłuczenie szyby, która nie chciała się zbić w określonym momencie i pistolet... który się zaciął. Obraz mignął... dźwięku nie zdążono podłożyć. No i wszystko trzeba było zaczynać od nowa...

*

W przerwie pytam pana Zygmunta Nowaka, jak długo pracuje jako imitator dźwięków.

— Robiłem wszystkie filmy, które wyszły z łódzkiej wytwórni. Mam ich na swoim koncie przeszło 150.

— Jakie efekty dźwiękowe uważa pan za najtrudniejsze?

— Najwięcej namęczyłem się nad... bitwą pod Grunwaldem w filmie „Krzyżacy".

— To i bitwę udźwiękowialiście w tej salce?

— Oczywiście! Wszystkie dźwięki, szczęk pałaszy, tętent koni, przebijanie ciała mieczem itp. — Mamy tutaj worki wypchane trocinami lub piaskiem i... kłujemy weń bagnetem. Przelewanie krwi — robimy także... gęstym sokiem malinowym. To daje podobny dźwięk!

Nie mogłam sprawdzić, czy pan Zygmunt żartuje sobie ze mnie, czy nie, bo już znowu zgasło światło i nowy fragment filmu pokazał się na ekranie.

A. WIELGOŁAWSKA

A WIĘC DZIŚ

PIERWSZA POŁOWA MECZU MÓZGÓW

Polega ona na rozwiązaniu turnieju zadań, który widzicie na sąsiedniej stronie. Zadań jest DWANAŚCIE, a za rozwiązanie każdego z nich możecie zdobyć pewną ilość punktów. Ilość punktów — podana przy każdym zadaniu — jest różna, bo i różne są zadania: łatwiejsze i trudniejsze.

Starajcie się oczywiście rozwiązać wszystkie zadania — wtedy możecie zdobyć dwieście punktów. Możecie też nadesłać rozwiązanie nie wszystkich zadań — wtedy jednak zdobędziecie dla swojej drużyny meczowej mniejszą ilość punktów.

Punkty zdobyte przez wszystkich członków drużyny „Orłów" zostaną podsumowane przez kapitana i stanowić będą wynik drużyny w pierwszej połowie Meczu. Tak samo punkty „Żubrów". Widzicie więc, że należy się starać rozwiązać jak najwięcej — ale nawet dwa punkty mogą zadecydować o zwycięstwie Twojej drużyny.

Wyniki pierwszej połowy Meczu ogłoszone będą w połowie stycznia.. I wtedy drużyny staną po raz drugi do walki — rozpocznie się druga połowa Meczu.

„Żubry Północy"

Do drużyny „Żubrów" należą czytelnicy z następujących województw: BIAŁOSTOCKIE,, OLSZTYŃSKIE, GDAŃSKIE, KOSZALIŃSKIE, SZCZECIŃSKIE, BYDGOSKIE, POZNAŃSKIE, WARSZAWSKIE, M. ST. WARSZAWA I ZIELONOGÓRSKIE.

Kapitanem drużyny „Żubrów" jest dobrze Wam znany ze „Świata Młodych" — red. Zbigniew Pawłowski. On będzie prowadził „Żubry" do zwycięstwa.

„Orły Południa"

Do drużyny „Orłów" należą czytelnicy z następujących województw: RZESZOWSKIE, KRAKOWSKIE, KATOWICKIE, OPOLSKIE, WROCŁAWSKIE, KIELECKIE, ŁÓDZKIE, M. ŁÓDŹ I LUBELSKIE.

Na czele drużyny „Orłów" stoi jej zasłużony kapitan — red. Stanisław Borowiecki. Czy uda mu się i tym razem doprowadzić „Orły" do zwycięstwa — przekonamy się za kilka tygodni.

NAGRODY

Wśród najlepszych odpowiedzi z drużyny, która zwycięży w pierwszej połowie Meczu, losować będziemy nagrodę główną:

KIESZONKOWY ODBIORNIK RADIOWY

Wśród najlepszych odpowiedzi z obu drużyn rozlosujemy następujące nagrody:

ADAPTER ZEGAREK GITARĘ

Wśród wszystkich nadesłanych odpowiedzi rozlosujemy nagrody pocieszenia w postaci

50 KSIĄŻEK

TO NAKLEJ NA KOPERTĘ

Zależnie od tego, o zwycięstwo której drużyny walczysz w Meczu Mózgów — wytnij jeden z tych znaczków, naklej go na kopercie i wpisz na nim łączną ilość punktów, zdobytych przez Ciebie w Meczu.

Jeśli jesteś „Żubrem" — przyklej żubra. Jeśli jesteś „Orłem" — przyklej orła.

W tej kopercie przyślij nam wypełniony kupon konkursowy, czyli Raport z Meczu Mózgów.

Przesyłam . . . . pkt.

Przesyłam . . . . pkt.

Rozwiąż TEN KONKURS

Najstarszy harcerz w Bytomiu, szczepowy druh Franciszek Kachel, z podziwem ogląda wykonane przez swoje „dzieci" przedmioty

J. GÓRALEWSKA
Foto: J. Dąbrowski

Drugi DOM

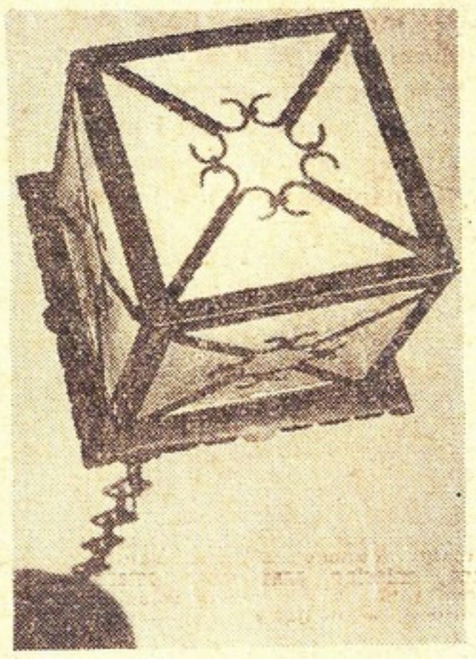

Takie oświetlenie, to naprawdę cacko. Materiał do produkcji zdobyli chłopcy, ze starego betonowego muru, który otaczał ich gospodarstwo.

TEN DOM zbudowano z czerwonej cegły. Jest mały i wydaje się przycupnięty do ziemi wśród wysokich czarnych gmachów, stojących przy ul. Brzezińskiej w Bytomiu. W jego pokojach znalazło gościnę aż 120 harcerzy ze szkół podstawowych i średnich — mieszkańców tej samej dzielnicy i tyluż samo „cywilów".

NAJWESELSZY POKÓJ — SALA ZABAW

KAŻDEGO dnia po południu tu właśnie można spotkać najwięcej dzieciarni. Przy stołach do ping-ponga chłopcy i dziewczęta rozgrywają mecze. Wtedy w sali jest bardzo gwarno. Gromady kibiców gorąco dopingują swoich ulubionych zawodników. Nie mniejszym powodzeniem cieszą się gry stolikowe. I tu toczy się zacięta walka o tytuł mistrza. Nawet najmłodsi, kiedy ustawiają z klocków wspaniałe wieżowce, albo szyją z gałganków zabawki, wybierają spośród siebie mistrza.

Często sala zabaw zamienia się w teatr. Wtedy zostają tu tylko krzesła. Zajmują je rodzice. A dzieci usadawiają się wygodnie, po turecku, na podłodze i niecierpliwie czekają na podniesienie kurtyny. Ostatnio na scenie pojawiał się często wawelski smok. Spragniony wody, biegał rozjuszony, walił długim ogonem o deski. Najmłodsi szukali wtedy schronienia u rodziców. Starsi wybuchali salwami śmiechu.

— Obecnie przygotowujemy bajkę o „Popielu" — informuje Irenka Kaliga, zastępowa „Wiewiórek". Będzie to prezent na gwiazdkę dla maluchów.

NAJSPOKOJNIEJSZY POKÓJ — „CICHY KĄCIK"

OTWIERAM teraz drzwi do pokoju, gdzie panuje absolutna cisza. Początkowo myślałam nawet, że tu nikogo nie ma. A tymczasem przy stolikach siedzą gromadki chłopców i dziewcząt. Sądząc po wzroście są to uczniowie ze wszystkich klas szkoły podstawowej. Na stołach widzę rozłożone książki do języka polskiego, matematyki, geografii, biologii...

W wielu domach utarło się przekonanie, że harcerze zawsze pomogą, że tu można ciekawie spędzić czas. Dzieciarnia więc po przyjściu ze szkoły pałaszuje szybko obiad, bierze książki pod pachę i pędzi do harcówki. Tu przy pomocy starszych kolegów w harcerskich mundurach rozwiązuje skomplikowane zadania z matematyki, robi ciekawe doświadczenia z chemii, powtarza materiał...

HISTORIA O PÓŁNOCY. Było to rok temu — zaczął swoją opowieść Józek Czapla — zastępowy zastępu „Psów".

— Cały nasz zastęp umówił się w sobotę o północy, żeby w tajemnicy przed innymi urządzić „cichy kącik". Dekorację łącznie ze stolikami i krzesełkami wykonaliśmy już wcześniej w warsztatach szkolnych.

Naprzeciw harcówki mieszka nasz szczepowy, druh Franciszek Kachel, a okna jego mieszkania wychodzą wprost na nasz dom. Pracowaliśmy więc całą noc wyłącznie przy świetle latarki elektrycznej. A dziś, sama pani widzi jak tu ładnie. Nawet lekcje przyjemnie odrabiać...

NAJCIEKAWSZY POKÓJ — MUZEUM

W TYM pokoju można odczytać całą historię obu harcerskich drużyn: I drużyny żeńskiej i I drużyny męskiej. Mówią o niej rozłożone cztery tomy kroniki i pięknie oprawione książki z opisami każdej akcji, wycieczki, obozu, biwaków. Od lat harcerze ściągają tu przeróżne eksponaty. Odciski paproci w węglu i ciekawe okazy kamieni zdobywają na hałdach górniczych. Totemy i różne leśne cuda przywożą z wakacyjnych wypraw. Jak w prawdziwym muzeum stoją tu rycerze w łuskowych pancerzach, wsparci o halabardy i miecze. Na rycerzy patrzą z uśmiechem ogromne głowy kukieł, które jeszcze nie tak dawno rozweselały ze sceny dzieciarnię. Harcerze nie tylko to, co ciekawego, znajdą, ale i to, co sami zrobią, umieszczają w muzeum.

*

Taki właśnie jest ich ten drugi dom. Wszystkim zależy, żeby było w nim ciekawie i przyjemnie. A wielu po pewnym czasie staje się członkami harcerskiej drużyny.

WYPEŁNIJ RAPORT

JEŚLI już rozwiązałeś zadania konkursowe, wypełnij Raport z Meczu. W odpowiednich miejscach wpisz prawidłowe rozwiązania zadań. Jeśli któregoś zadania nie rozwiążesz — nie wpisuj w tym miejscu na kuponie nic.

Podlicz łączną ilość zdobytych punktów i wpisz ją także.

Rozwiązania należy nadsyłać do dnia 5 stycznia.

NASZ ADRES: „ŚWIAT MŁODYCH" WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.

UWAGA ZASTĘP

MECZ MÓZGÓW powinniście zorganizować na jednej z Waszych feryjnych zbiórek zastępu albo drużyny. Możecie też na tę meczową zbiórkę zaprosić koleżanki i kolegów spoza drużyny.

Jak zorganizować Mecz Mózgów na zbiórce? Podobnie jak wygląda radiowa „Zgaduj-zgadula" albo telewizyjna „Wielka gra".

Wytnijcie ze „Świata Młodych" zadania, wybierzcie prowadzącego grę — i zaproście chętnych do udziału w Meczu. Jeśli chcecie, możecie sobie na zbiórkę ułożyć także dodatkowe zadania.

Pamiętajcie, że zwycięzców trzeba będzie nagrodzić — np. książkami.

ALBUM ODKRYĆ I WYNALAZKÓW

TELEFON. Twórcą telefonu był Amerykanin, Graham Bell. Wynalazek swój opatentował w roku 1876. Bell miał zresztą szczęście, zaledwie o dwie godziny wyprzedził innego wynalazcę telefonu — Gray'a, który również przyszedł do tego samego urzędu opatentować swoje dzieło.

Telefon Bella nie był oczywiście w pierwszej wersji doskonały. Składał się bowiem tylko z jednej słuchawki, do której się mówiło, i przez którą się słuchało swego rozmówcę. Nie był on również wzmacniany energią z baterii elektrycznych, co powodowało słabą słyszalność. Mimo tych wad telefon od razu zrobił wielką karierę.

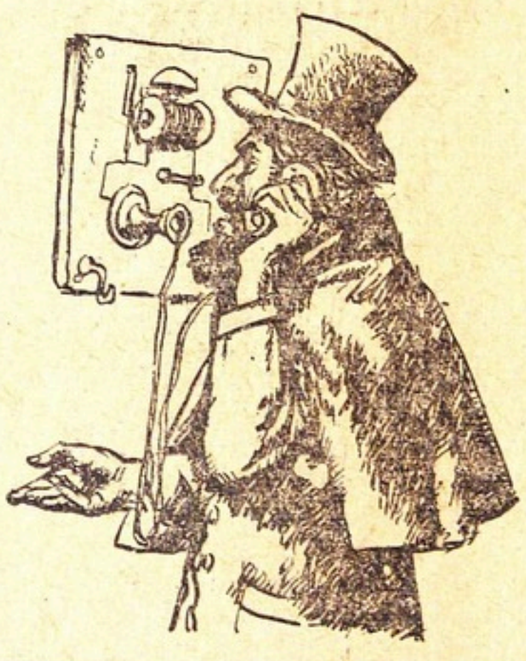

(66) Wyd. „Świata Młodych" — 1964 r.

Za 2 pkt

Jedno jajko gotuje się 3 minuty. Ile minut potrzeba na ugotowanie 3 jajek?

Za 4 pkt

Morza i oceany posiadają wielu pływających mieszkańców. Wymień trzy morskie stworzenia, które są ssakami oraz trzy, które nie są ani rybami, ani ssakami.

Za 6 pkt

Na rysunku widzicie mały domek. Zanim go zbudowano, architekt wykonał kilka planów do wyboru. Według którego planu zbudowano domek — A, B, C czy D?

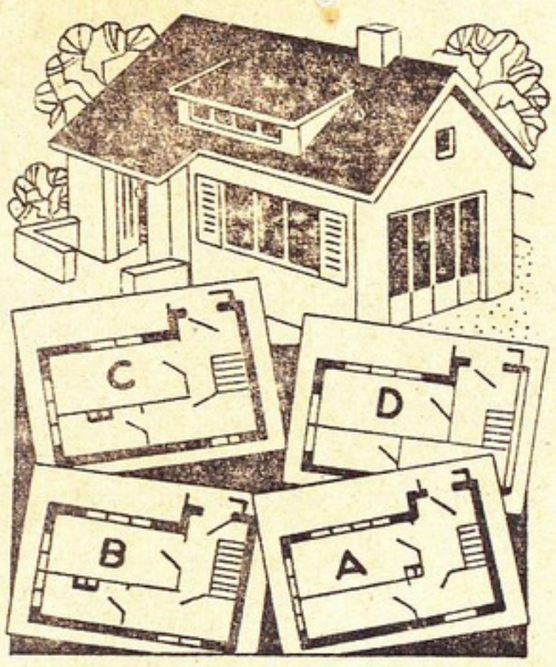

Za 8 pkt

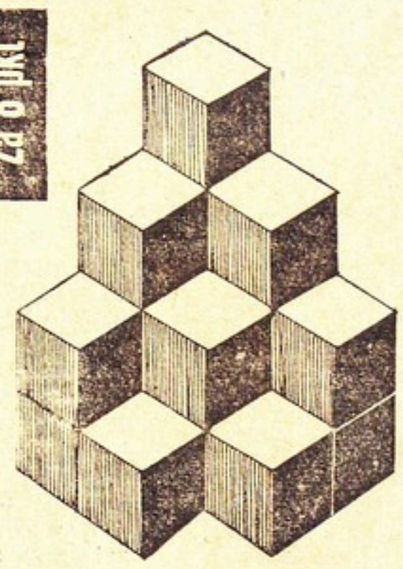

Oblicz, z ilu sześcianów zbudowana jest ta piramida.

Za 12 pkt

W pewnym sadzie rosła grusza, która miała 33 grube konary. Z każdego konara wyrastały 33 gałęzie, a z każdej gałęzi 33 gałązki. Na każdej gałązce rósł jeden owoc. Ile jabłek rosło na tym drzewie?

Za 16 pkt

Białe niedźwiedzie, żyjące w podbiegunowych krainach, polują na różne zwierzęta i ptactwo. Dlaczego jednak nigdy nie polują na pingwiny?

Za 20 pkt

Trzej chłopcy — Wicek, Wacek i Jacek — postanowili rozegrać między sobą turniej szachowy. Umówili się, że każda para spośród tej trójki ma rozegrać po dwie partie. Ile partii ŁĄCZNIE rozegranych będzie w tym turnieju? Ile partii rozegra KAŻDY z chłopców?

Za 24 pkt

Pociąg towarowy, złożony z bardzo wielu wagonów, posiadał długość 1 km. Jechał on z szybkością 1 km na minutę. W pewnym miejscu trasy pociąg wjechał do tunelu, którego długość wynosiła 1 km. Ile czasu trwał przejazd całego pociągu przez ten tunel?

Za 10 pkt

Do szkoły przyjechał profesor Wszędobylski. Profesor jest specjalista od astronautyki i opowiadać będzie o kosmicznych rakietach. I już, już miał zacząć opowiadać, kiedy się zorientował, że w swoim samochodzie, który postawił na parkingu, zostawił teczkę. Profesor Wszędobylski wręczył kluczyk do samochodu Krzyśkowi i poprosił go, żeby przyniósł teczkę.

— Proszę bardzo, zapamiętaj: na tabliczce rejestracyjnej znajdziesz inicjały jednego z kosmonautów, dzień, miesiąc oraz dwie ostatnie cyfry roku, kiedy ten kosmonauta wyruszył w swoją wielką podróż.

Krzysiek pobiegł na parking i w pierwszej chwili był bezradny. Przypomniał sobie jednak szybko, co mu powiedział profesor... I znalazł samochód. (Co było napisane na tabliczce rejestracyjnej?)

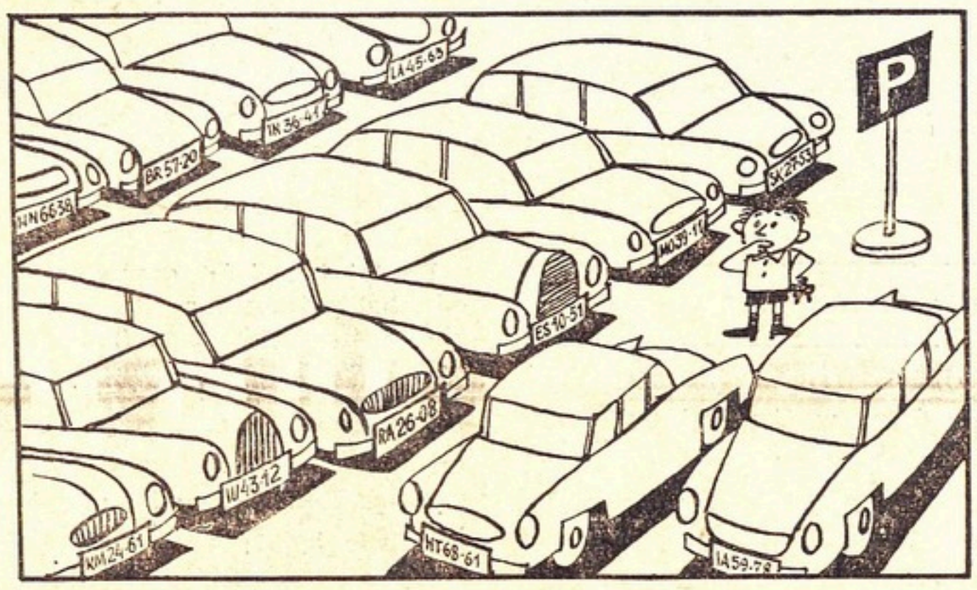

Za 40 pkt

Cała ta piątka — Anka, Basia, Czarek, Dodek i Ewa — mieszkają w jednym domu. Oczywiście mieszkają w różnych mieszkaniach, ale nie w pięciu, tylko w czterech, bo dwójka z nich jest rodzeństwem i mieszka razem. Przyjrzyjcie się dobrze rysunkom czterech pokojów i zgadnijcie, kto w którym z nich mieszka.

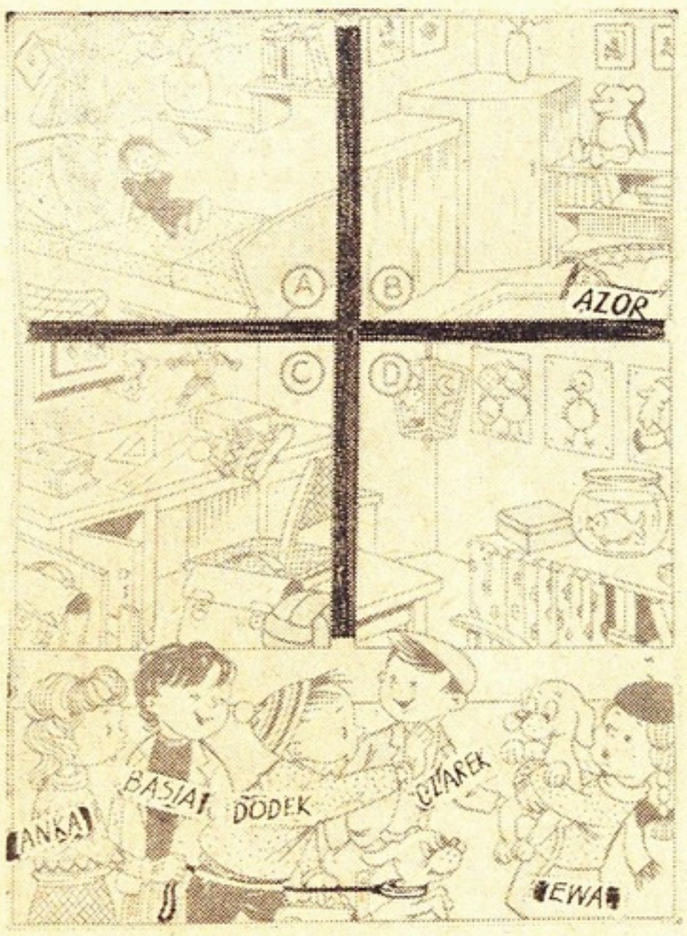

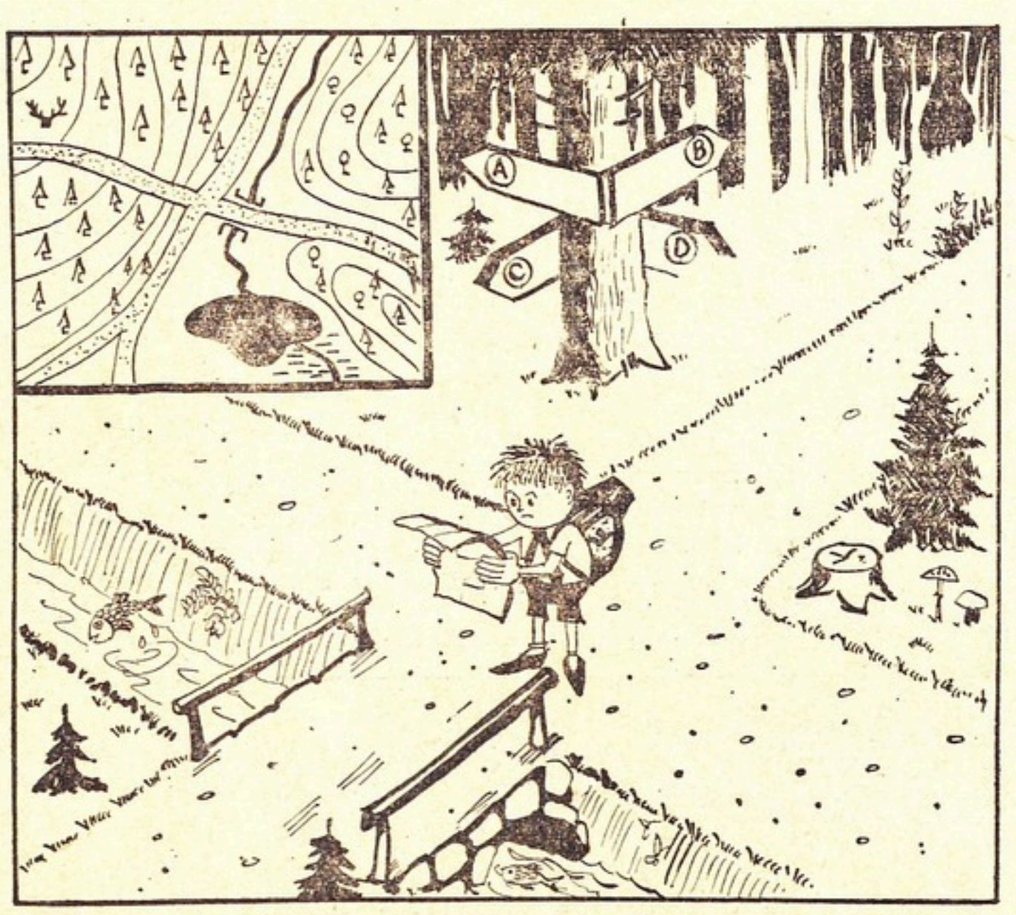

Za 30 pkt

Historia ta zdarzyła się na wycieczce zastępu „Tropicieli". Wędrując przez piękną okolicę, harcerze zatrzymali się nad jeziorem, gdzie omówili dalszą trasę. Ustalili, że dalej każdy pójdzie sam i że wszyscy mają się spotkać w leśniczówce. Każdy z harcerzy miał oczywiście przy sobie mapę tej okolicy. Najdłużej wędrował Zbyszek, aż w końcu stanął na skrzyżowaniu leśnych dróg. Stanął, spojrzał na mapę, spojrzał na otoczenie — i szybko się zorientował, którą drogą ma iść dalej. Która droge, według Was, wybrał Zbyszek — A, B, C czy D?

Za 28 pkt

Który z tych dwóch rowerzystów ma pierwszeństwo przejazdu — A, czy B?

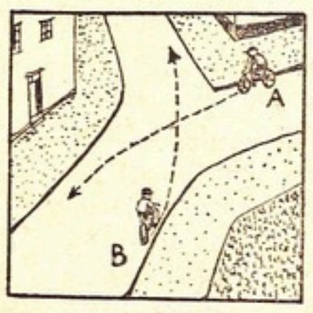

WYPEŁNIJ RAPORT

WYTNIJ I PRZYŚLIJ DO REDAKCJI

RAPORT z Meczu Mózgów-65

Imię .....

Nazwisko .....

.....

Klasa .....

Adres .....

.....

.....

W ..... zorganizowanym przeze mnie Meczu Mózgów wzięło udział ..... osób

MOJE PUNKTY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ-65:

Za 2 pkt.

.....

Za 4 pkt.

ssaki:

.....

1. .....
2. .....
3. .....

Ani ryby, ani ssaki

1. .....
2. .....
3. .....

Za 6 pkt.

.....

Za 8 pkt.

.....

Za 10 pkt.

.....

Za 12 pkt.

.....

Za 16 pkt.

.....

Za 20 pkt.

łącznie .....

każdy .....

Za 24 pkt.

.....

Za 28 pkt.

.....

Za 30 pkt.

.....

Za 40 pkt.

Anka .....

Basia .....

Czarek .....

Dodek .....

Ewa .....

ŁĄCZNIE ZDOBYŁEM

..... punktów

.....

podpis

ZBROJNA WYPRAWA AMBROŻEGO KROPKI

ZDOBYCIE ŁAMCZYSKA

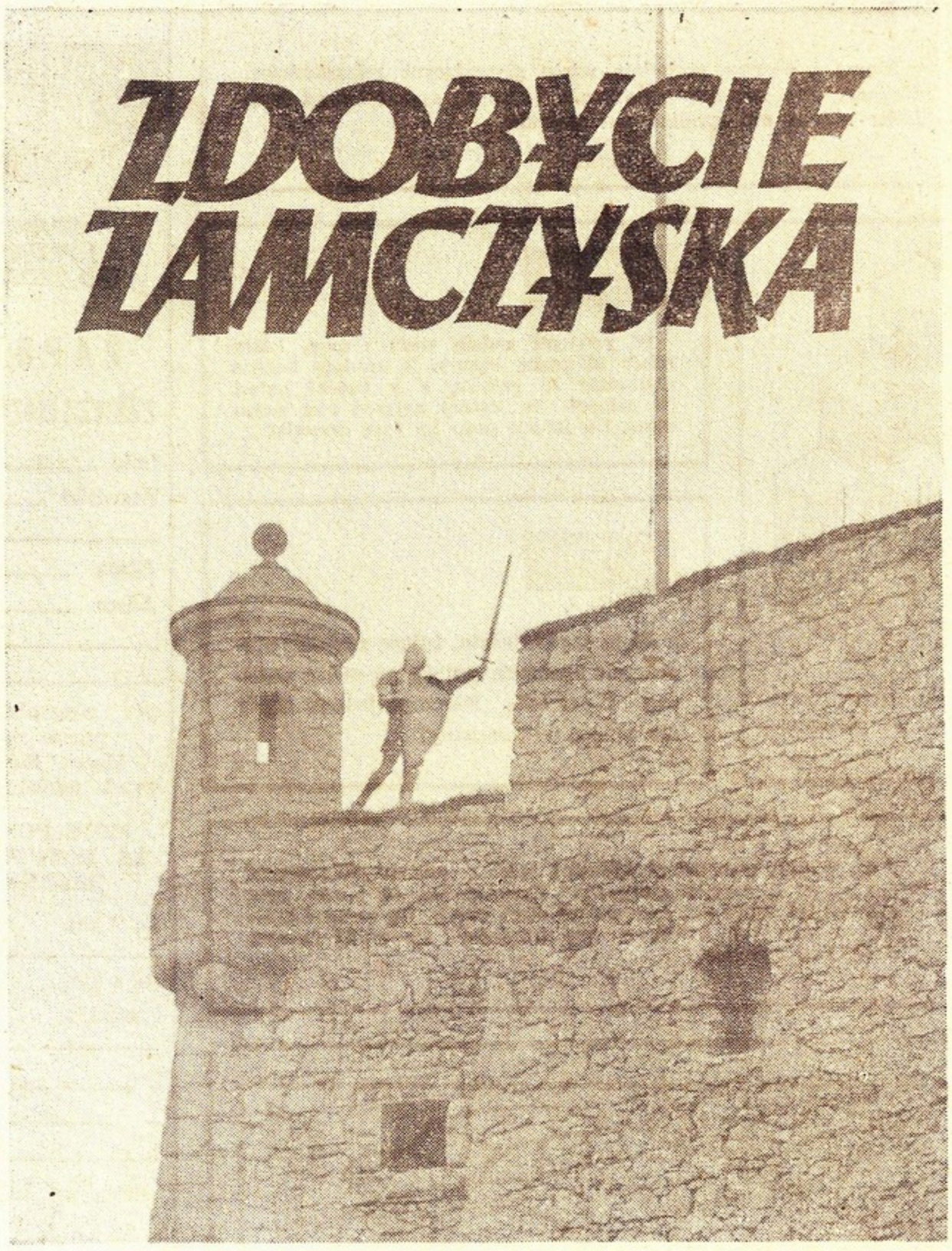

Ciąg dalszy ze strony 1

Po tej wędrówce Doliną Prądnika, wśród deszczu ze śniegiem i gradobicia, spojrzałem na swoje buty. To już nie były buty!... To były dwa zmywaki, z których jak na urągowisko wystawały moje bose i obolałe palce (od nóg).

Resztą sił doczołgałem się do Maczugi Herkulesa i spocząłem sobie ździebko pod tą maczugą.

Ambrożemu Kropce kłania się mistrz Twardowski

MACZUGA HERKULESA to taka przewrotna skała (wapienna). Wierzchołek ma wryty w ziemię, a „siedzibę" ma na wysokości dwudziestu metrów. Kiedy tak sobie spoczywałem, nadjechał pobliski gospodarz wozem o sile dwu koni naturalnych i rzecze:

— O ile się nie mylę, to panie dobrodzieju, pan chyba z miasta?

— Stołecznego Warszawy — dodałem, masując obolałe odnóża oraz przecierając irchą obiektywy swoich aparatów fotograficznych i okulary.

— A... jak pan, panie dobrodzieju, ze stołecznego miasta, to ja panu, panie dobrodzieju, wyjaśnię niektóre sprawy związane z tym, pod czym pan błogo spoczywa...

Tu gospodarz rozpoczął przedziwną opowieść, której wśród deszczu i gradobicia towarzyszyły smakowite mlaskania koni, spożywających owies zakupiony przez gospodarza w Gminnej Spółdzielni w Ojcowie.

— A więc to było bardzo dawno, panie dobrodzieju — ciągnął gospodarz. — Niejaki Twardowski, dyplomowany czarnoksiężnik, który nawet z czortami się bratał, wynajął pewnego dnia na prace zlecone niejakiego Mefistofelesa z piekieł rodem, który to za szlachetną duszę szlachcica Twardowskiego gotów był wykonać co by nie popadło. No, to Twardowski kazał mu wyrwać z pokładów epoki polodowcowej niewielką górkę i postawić ją „na sztorc" szczytem do ziemi. Takiemu czortowi ogoniastemu — jak Mefistofeles — to, panie dobrodzieju, nie nowina. Wziął górkę za „czapę" i postawił przyzwoicie pod Pieskową Skałą.

Po tej opowieści gospodarz odjechał pojazdem o sile dwu koni naturalnych, a ja (resztką sił) wdrapałem się na sam szczyt Maczugi Herkulesa i spojrzawszy śmiało na wschodzący księżyc — zawołałem:

— Panie Twardowski, jak to właściwie było?!

Pan Twardowski ukłonił mi się lisią czapą z Księżyca w pełni i, podwinąwszy poły kontusza, rzekł uczenie:

— Panie Ambroży — że tak powiem — Kropko!.. Nie daj się pan bujać! Ja, mistrz Twardowski, nic nie miałem wspólnego z tą „Maczugą Herkulesa". To woda i powietrze tak jakoś zrobiły, że podmyły to i owo w wapiennej skale, skruszyły ją od dołu i powstała niby — maczuga. Najłatwiej to jest wszystko zwalać na Twardowskiego! To naprawdę nie moja wina!

Tu Twardowski zasłonił się wstydliwie chmurą, za którą zaszedł księżyc (w pełni), a ja, zszedłszy z Maczugi Herkulesa, zaszedłem do widniejącego nie opodal zamku w Pieskowej Skale, pełnego najniesamowitszych niesamowitości, o których wam za chwilę powiem.

Porta apperitur

OTWÓRZCIE, rodacy, jak pragnę zdrowia!

— Ktoś pragnie zdrowia! — ozwał się ponury głos zza bramy zamkowej.

No i brama się otworzyła na całkowity oścież, a oczom moim ukazał się człowiek, który (jak każdy człowiek) — miał nos pomiędzy oczami, nogi do samej ziemi i chodził do góry głową (bo głową na dół jest chodzić trudno!).

— No, to cześć! — ozwał się ów człowiek. — Pan, za przeproszeniem, kto?

— Kropka jestem i w dodatku Ambroży — rzekłem dumnie. — Ze „Świata Młodych" — ma się rozumieć! Jasne?!

I wtedy jakiś głos potężny zahuczał z krużganków zamkowych:

— Wprowadzić!

— Zapychaj pan do pokoju 25! — ozwał się do mnie ów człowiek od bramy, czyli zamkowy dyspozytor. — Porta apperitif!

— Porta apperitur! *) — poprawiłem dyspozytora i tak zaczęło się moje wołanie o tatę.

Wołanie o tatę

WPROWADZONO mnie do sali przestronnej, w której na ścianach była cała kolekcja przodków, a w środku stało biurko, za którym rozpanoszył się jakiś młodzieniec.

— Gdzie tatuś? — zapytałem młodzieńca.

— Jaki tatuś? — ozwał się młodzieniec ciekawie.

— Twój, tatuś, synku — powiedziałem. — Zawołaj ojca, to porozmawiamy.

— Panie Kropka, nie bądź pan taki chytry. Tu tatusiem, czyli magistrem na zamku, jestem ja — rzekł twardo młodzieniec. — Antoni Dzieduszycki jestem — przedstawił się elegancko, szurając nogą po zamkowej posadzce. — Lat 28! A jeżeli pan chce robić reportaż w zamku — dodał — to proszę się przyodziać w strój ochronny, który zaleca nasze zamkowe B i HP (Bezpieczeństwo i Higiena Pracy).

Tu pan Dzieduszycki kazał mi zdjąć wierzchnie odzienie w postaci jesionki i czapki-dżokejki oraz przebrać się (w zamkowej szatni) w autentyczną zbroję rycerską.

Ledwie to uczyniłem, Magister na Pieskowej Skale, dorzucił półgębkiem:

— U nas to, panie Ambroży, nigdy nic nie wiadomo... Jak się na przykład spadnie z wieży zamkowej, to ucierpi tylko zbroja, a nie człowiek. A jak spadnie z góry cegła poruszona przez złośliwego ducha — to też zatrzyma się na hełmie, ale głowa będzie calusieńka. A jak na przykład jakiś zabójczy przodek zechce pana dźgnąć mieczem, też zbroja pana uchroni.

Przekonany tymi argumentami nie do zbicia, udałem się w zbroi na zwiedzanie zamku. Przedtem jednak zadałem panu Dzieduszyckiemu kilka fachowych pytań.

*) Porta apperitur — po łacinie: brama stoi otworem.

Fachowe pytania i takież odpowiedzi

KIEDY powstała Pieskowa Skała?

— Dokładnie nie wiadomo — odparł Magister — ale pierwszy dokument, wspominający tę miejscowość, pochodzi z czasów Władysława Łokietka, z roku 1315. Jest tam mowa o grodzie Peskenstein, co po polsku znaczy „Pieskowa Skała".

— A co znaczy „Pieskowa Skała"?

— Też dokładnie nie wiadomo. Może to być na przykład nazwa pochodząca od pierwszego osadnika imieniem Pieszko, może również pochodzić od imienia Piotra Szafrańca, pierwszego właściciela zamku, którego imię ze słowiańska brzmi „Pieszko". Może to być również zniekształcona legendarna nazwa „Bieskowa Skała", czyli skała biesa, który toczył chuligańskie boje z imć panem Twardowskim.

— Ja proszę o fakty, a nie o legendy — przerwałem.

— Faktem jest — dorzucił Magister — że murowany zamek w Pieskowej Skale został zbudowany za czasów Kazimierza Wielkiego i że w roku 1377, a więc prawie sześćset lat temu, został ofiarowany przez króla Ludwika Węgierskiego podstolemu krakowskiemu Piotrowi Szafrańcowi. Od tego czasu zamkiem władał przez 230 lat potężny ród Szafrańców, którzy rozbudowywali zamek i wzbogacali go w liczne dobra, przeistaczając skromną warownię w reprezentacyjną rezydencję.

Ród Szafrańców wsławił się wielkimi dotacjami na rzecz Akademii Krakowskiej, a najznakomitsi jego przedstawiciele, Hieronim i Stanisław Szafraniec, szczycili się tym, że ich zamek jest najpiękniejszy po Wawelu. Bywali jednak również Szafrańce gorszego gatunku...

Na tropie średniowiecznego bandziora

UDAŁEM się do ciepłej komnaty, by przejrzeć sobie (pobieżnie) kilkanaście rodowych portretów, oprawionych w nowożytne ramy. Na pierwszym portrecie był oczywiście kropka w kropkę Hieronim Szafraniec, a za nim stało w kolejce do obejrzenia jeszcze kilkunastu Szafrańców, i ich krewnych, a moja zbroja kroczyła wraz ze mną po zamkowej posadzce

Pies kustosza mnie obszczekał...

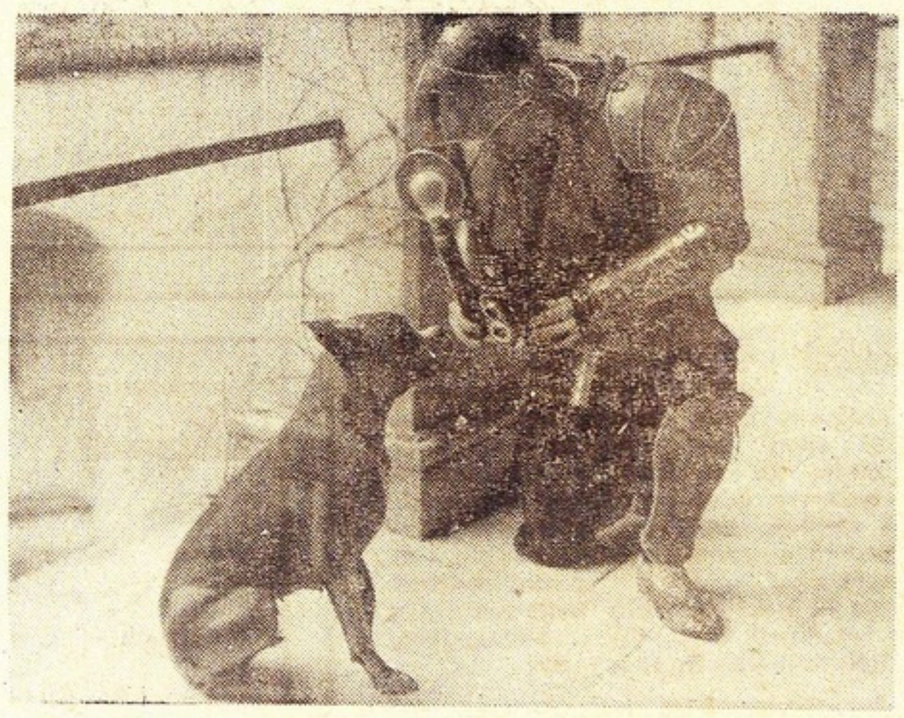

W zamczysku jest dużo przodków, ale najgorszy okazał się Krzysztof Szafraniec (na zdjęciu go nie ma)

(wyfroterowanej pieczołowicie), dopóki nie przystanęła przed ostatnim portretem. Rama była — i owszem — przyzwoita — a w ramie rycerz na schwał.

Przyszło mi do głowy, że pewno jest to Krzysztof Szafraniec, chuligan średniowieczny, znany z tego, że zamienił Zamek w Pieskowej Skale na rozbójnicze gniazdo i po skórzanym moście „zlatywał" na drogę, żeby wraz ze zbrojną świtą grabić kupców ciągnących wozami z Krakowa do Ojcowa. Ponadto wiadomo mi było, że Krzysztof Szafraniec podkuwał konie swoich rycerzy na opak, żeby zmylić ślad, i że król polski, Kazimierz Jagiellończyk kazał go ściąć w Krakowie za niecne sprawki.

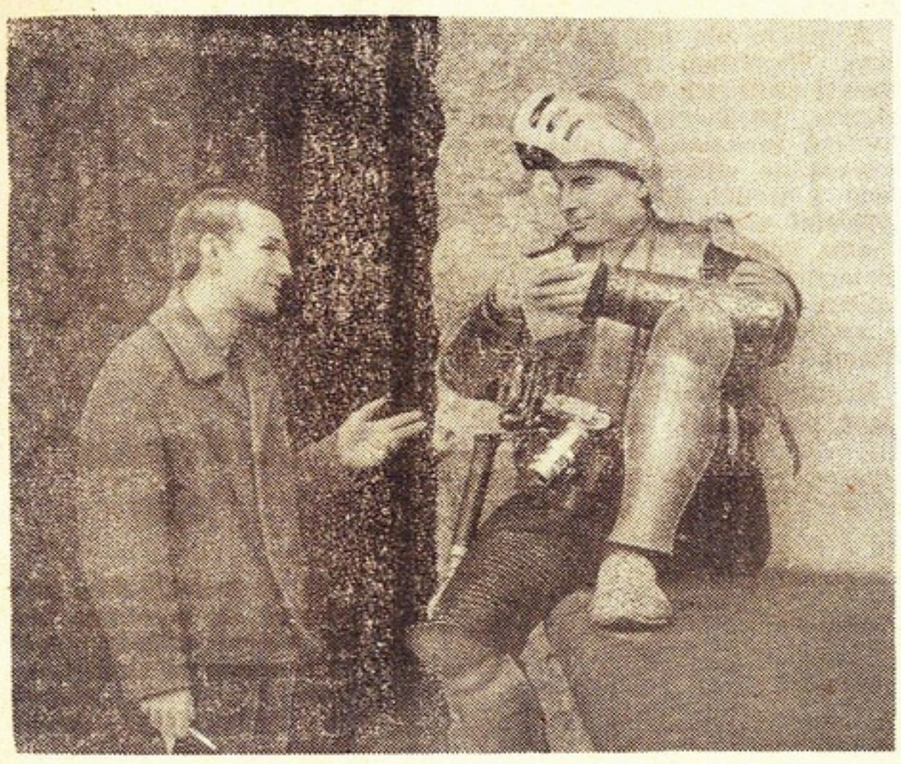

Okazało się, że nie najgorszym duchem zamczyska jest jego kustosz — magister Antoni Dzieduszycki (pierwszy z lewej)

— No, to będzie draka — rzekłem sobie w duchu, pomacawszy uprzednio rękojeść miecza. Kiedy jednak zbliżyłem się do portretowej ramy, Krzysio Szafraniec też się zbliżył do mnie, zupełnie jakby wychodził z portretu.

Cofnąłem się odruchowo (pomacawszy uprzednio rękojeść miecza). Krzysio też się cofnął i uczynił to samo, co ja.

Ponieważ nie lubię się bić anonimowo, podniosłem przyłbicę hełmu. Krzysio Szafraniec zrobił to samo i spotkaliśmy się w „cztery oczy".

W tym momencie uświadomiłem sobie, że na dworze hula wichura i że może świtem słońca nie zobaczę, bo pod przyłbicą Krzysia Szafrańca, starego chuligana średniowiecznego, zobaczyłem swoje własne, osobiste oblicze.

— Że też panu, panie Kropka, takie pomysły pod przyłbicę przychodzą — zdumiał się stojący za mną Magister. — Kto to widział, żeby sławny dziennikarz bił się z własnym odbiciem w zamkowym lustrze! Chodźmy lepiej do „Dorotki".

Wydało mi się, że „Dorotka" jest na pewno o wiele sympatyczniejsza od średniowiecznego chuligana, udałem się zatem do niej, ale srodze się zawiodłem, o czym będzie mowa w następnym rozdziale.

Dorotka i Zosia

DYSPOZYTOR Zamkowy, wziął mnie pod lewy bark (uzbrojony należycie) i przeprowadził przez odrzwia na miejsce, gdzie ongiś stała baszta „Dorotka".

— Tu — powiada Dyspozytor — była kiedyś wieża okrągła, a w tej wieży była sala straceń i sala sądów bożych. Jak na przykład jaki tam przestępca zamkowy coś zadarł ze średniowiecznym prawem, to pan Szafraniec kazał mu wejść do baszty, gdzie była komnata z ruchomą podłogą. Bandzior następował śmiało na podłogę, podłoga się obracała błyskawicznie, a bandzior spadał śmiało do lochu i ginął marnie.

Zupełnie inaczej jednakowoż zginęła w tej wieży niejaka Dorotka Szafraniec, Tęczyńska z domu. Jej mąż podejrzewał ją o to, że zakochała się w błędnym rycerzu, a nie w nim samym i dlatego kazał ją na samej górze zamurować żywcem w basztowej komnacie, a właściwie w celi, na wieki, wieków atrament. Tam zginęła marnie z głodu i chłodu. Stąd wniosek, że nie warto się kochać w błędnych rycerzach.

Korzystając z dobrego humoru ADZ (Autentycznego Dyspozytora Zamku) zapytałem nieśmiało:

— Obywatelu Dyspozytorze, czy nie moglibyśmy spocząć krzynę w jakiejś cieplejszej zamkowej komnacie?

— I owszem, moglibyśmy — odrzekł ADZ, aleśmy jeszcze nie skończyli opowieści o tej baszcie „Dorotce".

— No, to kończymy chyżo, Obywatelu Dyspozytorze, bo mi w tej zbroicy cierpną kończyny dolne.

— No, to najechali na zamek Szwedzi w roku pańskim 1665 — ciągnął opowieść Dyspozytor — za czasów dziedzica Michała Zebrzydowskiego i najpierw ich długo oblegali (i zamek i dziedzica) żywiąc się czym nie bądź w okolicznych wioskach, po czym nastąpiła zdrada dokonana przez sekretarza dziedzica, który kumał się ze Szwedami i przewrotnie pokazał im tajne przejście do zamku, które to przejście doprowadziło załogę zamkową w sile stu chłopa zbrojnego — do rozpaczy, a Szwedów doprowadziło do opanowania zamku za pomocą podstępu. Szwedzi okrągłe dwa lata hulali sobie i rozrabiali, po czym ograbili cały zamek doszczętnie i popłynęli za Bałtyk na okrętach do swojej znakomitej ojczyzny, gdzie do dziś dnia w muzeum w Sztokholmie podobno znaleźć można to i owo z zamku w Pieskowej Skale..

— No dobra, panie Dyspozytorze — przerwałem nerwowo — ale co się stało z Basztą „Dorotką"?

— Zapadła się pod ziemię baszta nasza gotycka „Dorotka", na skutek ruchów tektonicznych skały jurajskiej, na której stała, a która to skała nie wiadomo czemu nagle obsunęła się i koniec pieśni. Nie masz Dorotki!

Załkał w tym miejscu ADZ rzewnie i pociągnął mnie za kolczugę do tej ciepłej komnaty zamkowej. Kominek w niej był a jakże, i bierwiona smolne trzaskały w ogniu, a oprócz tego pod oknem był kaloryfer, czyli centralne ogrzewanie, na które zużywa się niemało ton koksu w ciągu doby, a kotłownia jest od tego centralnego ogrzewania zupełnie gdzieś na dole, pod inną skałą, żeby nie psuć widoku i atmosfery.

Kiedy mi palce odgrabiały, wyciągnąłem notes i ołówek, żeby coniebądź zanotować z tego wszystkiego dobrego, co opowiadał ADZ, a opowiadał tak:

— Tu, proszę wycieczki, pracowała bardzo równa babka. Blond włosy, a rzęsy jak pobliskie modrzewie. Siedziała tu sobie i nic, tylko pisała. Zośka miała na imię Szafrańcowa, a z domu Oleśnicka. Była pierwszą poetką polską, której utwór wiekopomny pod tytułem „Pieśń nowa" wydali w Krakowie dużo wcześniej niż ostatni wiersz niejakiej Wandy Chotomskiej ze „Świata Młodych" rodem. A teraz, proszę wycieczki, pora spać, bo dochodzi godzina dwunasta, czyli zamkowa godzina duchów!

Godzina duchów

ZEGAR zamkowy wskazywał akuratnie za pięć dwunastą, więc pora uciekać przed duchami!

To pomyślawszy, najpierw zszedłem do studni głębokości 51 metrów, potem popatrzyłem na groźne maszkarony, których detalicznie z 25 sztuk znajdowało się w zamkowych krużgankach i wreszcie — nie mając innego wyjścia — wyczołgałem się z zamczyska potajemnym przejściem długości ośmiu metrów poza zamkowe mury i jąłem dyrdać do Warszawy.

Nie dane mi jednak było opuścić zamczysko tak chyżo, jako że zastąpił mi drogę sam magister Dzieduszycki, zaczajony w pobliskich zaroślach.

— Podobała się panu Pieskowa Skała, panie Ambroży? — zagadnął słodko, trzymając oburącz coś takiego, co mi przypominało Maczugę Herkulesa.

— A i owszem, znakomicie, przenajwspanialej mi się podobała, tylko duchów żadnych tu nie ma, proszę Magistra!

— No, to ja je panu, panie Ambroży, pokażę akustycznie!

Tu Magister na Pieskowej Skale ujął mnie za przegub zbroi i zaprowadził do przedsionka dawnej zamkowej kaplicy, gdzie wstrząsnęły mną dreszcze.

Szept, od którego bieleje włos

PRZEDSIONEK ten ma sklepienie beczkowe i jest prawie kwadratowy, a po przekątnej ma chyba z osiem metrów długości. W jednym kącie stanął sam pan Magister, a w drugim — ja — obaj twarzami do ściany.

— Tu się mówi tylko szeptem — zaszeptał Magister, co usłyszałem tak wyraźnie jak program rozgłośni harcerskiej w paśmie 39 metrów.

— Słyszę pana, panie magistrze — odszeptałem doszczętnie struchlały. — A kto to wymyślił takie pokątne szeptanko?

— Ha — wyszeptał Magister. — To chyba któryś z Szafrańców, taki więcej przebiegły. W jednym na przykład kącie stał konfesjonał spowiednika bogobojnego, któremu kajała się pokornie zamkowa służba, a w drugim kącie była szafa drewniana, w której pan zamku siedział i dowiadywał się rozmaitych potworności, z których spowiadała się służba. Jak na przykład, że Maciej Mordęga, szafarz zamkowy, sprzedał niecnie kupcom krakowskim sześć połci boczku tłustego oraz jedną tuszę wołową, z której to afery mięsnej nie byle jakie zyski wyciągnął... rujnując swego pana oraz zamek.

— A teraz, panie Magistrze, nie rujnuje się zamku? — zaszeptałem trwożnie, spoglądając na robotników, krzątających się po dziedzińcu.

— Wprost przeciwnie! Zamek jest już odbudowany i oprócz bastionów, wież, komnat, krużganków i portretów przodków zawierać będzie wiele ciekawych wystaw na pierwszym i drugim piętrze. Przyjedźcie tu za rok, obywatelu Kropko, to sam zobaczysz!

— Przyjadę, jako żywo — odszepnąłem, zdejmując pas rycerski nabijany, oraz zbroję ochronną.

Tylko hełm sobie zatrzymałem na pamiątkę, bo i sam motorem jeżdżę i nie wiadomo, czy redaktor naczelny nie zechce wypróbować na mojej zamczyście skołatanej głowie czegoś w rodzaju... Maczugi Herkulesa.

JESZCZE SIĘ ZOBACZYMY

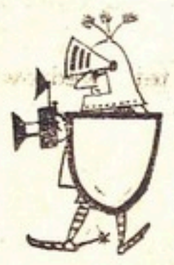

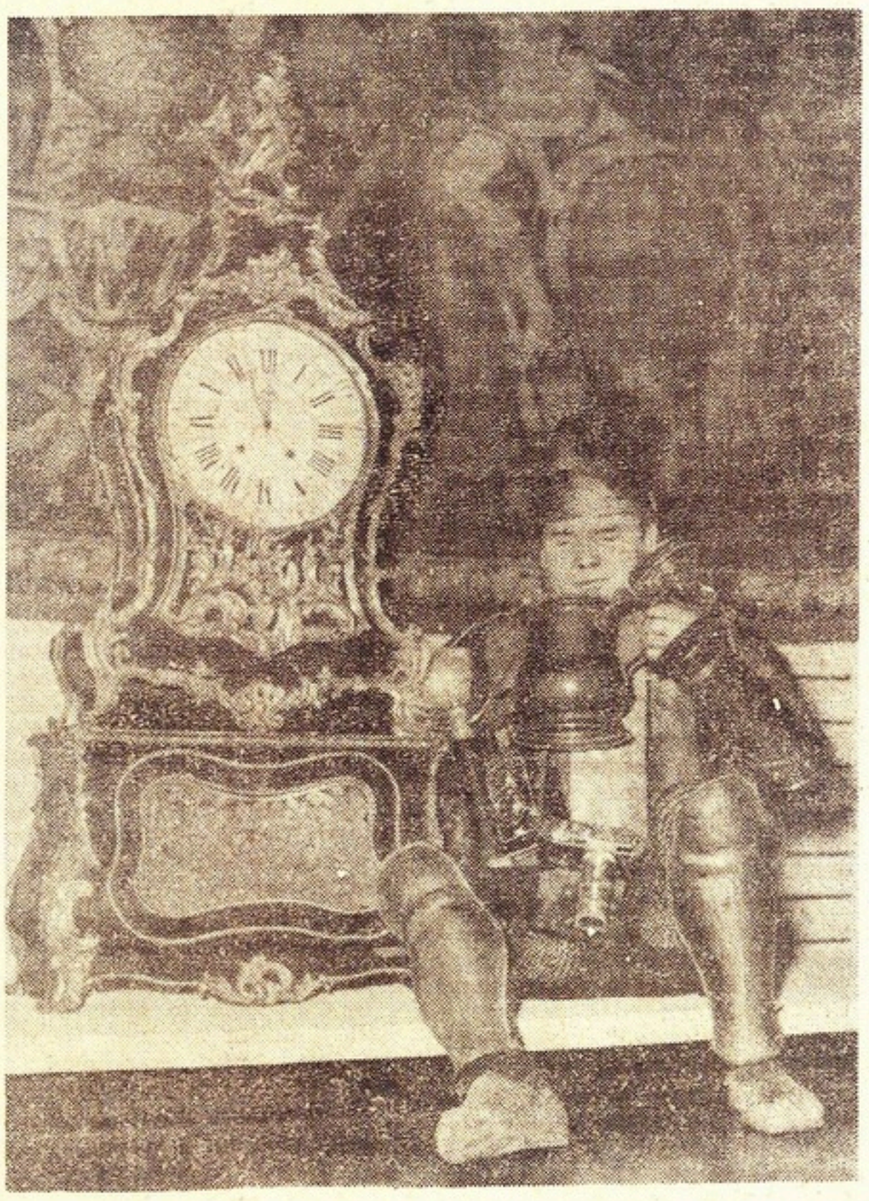

Piłem sok pomidorowy pod zegarem

Szwedzi wzięli zamek podstępem, a ja wszedłem na zamkowy dziedziniec zupełnie jawnie

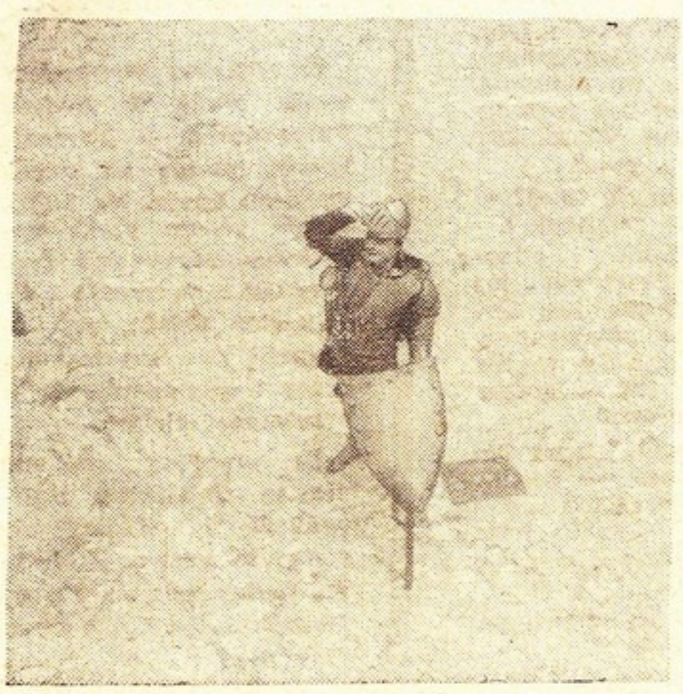

Szukałem złych duchów w krużgankach

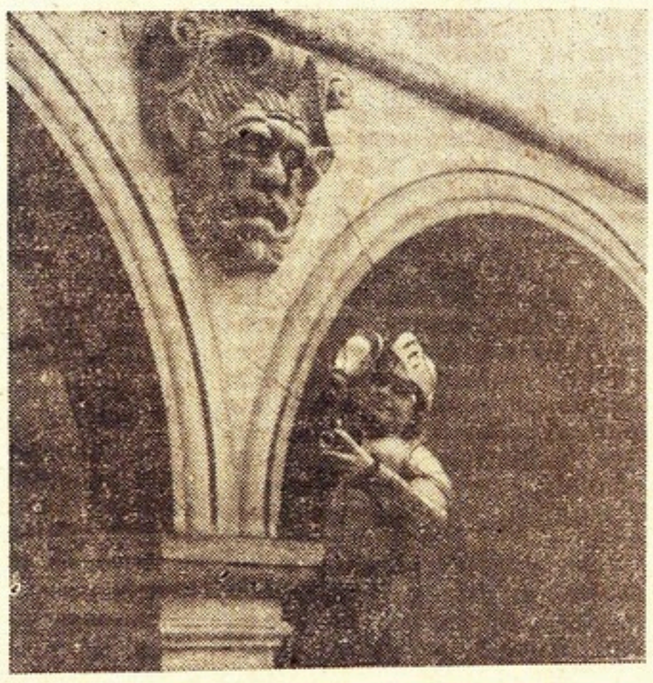

TROPAMI AMBROŻEGO KROPKI
Z FOTOKAMERĄ CHADZAŁ WIESŁAW HUDON

Gdy Beatlesi wracali samolotem po występach w Ameryce, tłum „nastolatków" zgotował im taką owację, że musieli oni przedzierać się do hotelu pod osłoną 20 policjantów.

George Harrison, Paul McCartney, Ringo Starr i John Lennon (od lewej do prawej) są wielokrotnymi milionerami. Ich ostatnia płyta „The hard days night" osiągnęła niebywały rekord powodzenia. Pobiła nawet niezwyciężony przez wiele lat Long-play Franka Sinatry.

Widziałam BEATLESÓW

Napisała: ALICJA WIELGOŁAWSKA

DO LONDYNU przyjechałam nocą. Na Picadilly Circus migotało morze świateł. Nieco dalej, na Trafalgar Square, tu, gdzie stoi sławna kolumna admirała Nelsona, olbrzymi kolorowy neon ogłaszał: „A hard day's night" (dosłownie: ciężkie noco-dnie).

— Co oznacza ta reklama? — spytałam zdziwiona.

— Nie wiesz? — znajomi zrobili okrągłe oczy. — Przecież to tytuł najnowszego przeboju Beatlesów!

— Aha, najnowszego, rozumiem, a jakie są poprzednie?

— Co? Nie znasz piosenek naszych Beatlesów?

— Owszem... Słyszałam coś niecoś... — bąkałam zawstydzona. — Znam za to dobrze piosenki Charles Aznavoura, Edit Piaf, Marleny Dietrich — dodałam pospiesznie.

Moim towarzyszom widocznie nie zaimponowało to, gdyż orzekli:

— Być w Anglii i nie widzieć Beatlesów — to klęska!

Rano pobiegłam zwiedzać Londyn.

— Chodźmy do British Museum — zaproponowałam córkom moich gospodarzy.

— Nie, najpierw pojedziemy metrem do Soho. Tam spotkamy najwięcej „Karaluchów" — orzekły dziewczynki.

Przywykłam już do tego, że w Anglii nie należy się niczemu dziwić, więc przezornie milczałam. Po drodze dziewczynki tłumaczyły mi:

— „Karaluchami" nazywamy naszych Beatlesów, rozumiesz?

Teraz dopiero przypomniałam sobie, że the beatle znaczy rzeczywiście „karaluch", ale dlaczego spotkać ich można na Soho? Czyżby tam mieszkali?

Na wąskiej uliczce Soho-square, zobaczyłam nagle cudacznie wyglądającą postać. Był to młody chłopak, ale długie, gęste włosy spadały mu na ramiona, jak u dziewczyny. Grzywka zasłaniała mu prawie pół twarzy. Ubrany był w czarną koszulę z golfem, żakiet bordo bez kołnierza i wąskie elastyczne spodnie. Na nogach miał długie plastykowe buty ze spiczastymi noskami i... mnóstwem dzwoneczków rozmieszczonych wzdłuż cholew.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołałam. — Kto to? Czy on należy do jakiejś sekty? A może on po prostu uciekł z domu... — nakreśliłam znacząco kółko na czole.

— To są właśnie „Karaluchy" — odparły dziewczynki, wpatrzone z zachwytem w młodzieńca, dopóki ten nie zniknął na zakręcie.

Po pół godzinie spacerowania ulicami i skwerami dzielnicy Soho, widziałam już dziesiątki takich „Karaluchów". Różnili się często ubiorem. Niektórzy nosili na przykład białe damskie bluzki, obszyte u szyi i rękawów falbankami, ale długie włosy i buty z dzwoneczkami lub łańcuszkami z wisiorkiem nosili wszyscy.

— U nas panuje teraz moda robienia się na „Beatlesów" — objaśniały moje towarzyszki.

— Chłopcom to łatwo — dodała z żalem młodsza. — Mają spodnie, buty, marynarki. A my, co?

— Za to wy, dziewczynki, nie macie kłopotu z włosami. Wasze głowy bardziej przypominają fryzury Beatlesów.

— Naprawdę?! — wykrzyknęły obie i potargały swoje „szopy" jeszcze bardziej.

Na drugi dzień wczesnym rankiem zadzwonił telefon i podniecony głos zawołał w słuchawkę:

— Słuchaj, Alice, wstawaj jak najprędzej! Jedziemy natychmiast do Birmingham!

— Po co? — zapytałam sennie. — Może jutro...

— Dziewczyno, obudź się! Zdobyłem bilety na występ Beatlesów! Rozumiesz? Beatlesów!

Tak, to była okazja, zważywszy, że za bilety na Beatlesów płaci się zawrotne sumy (za cenę jednego biletu można kupić na przykład eleganckie pantofelki) i że... w ogóle nie można ich dostać, bo są wyprzedane na kilka tygodni naprzód. No, ale John załatwił!

Miasto Birmingham oddalone jest od Londynu kilkadziesiąt mil. Jechaliśmy samochodem z zawrotną szybkością, ale i tak gdzieś w połowie drogi „złapał nas korek", którego tak bardzo obawiał się John.

— Teraz będziemy się wlec noga za nogą — orzekł smętnie. — Wszystkie samochody na szosie jadą tam, gdzie my.

Długi sznur samochodów przed nami i za nami wyglądał jak gigantyczny wąż. Wszyscy kierowcy trzymali się grzecznie swojej linii. Nikt nikogo nie wyprzedzał, jedynie motocykliści i skuterzyści migali środkiem jezdni.

Przy granicach miasta niepodobna było już w ogóle się posuwać. Policjanci w białych kurtkach przepychali się w tym ścisku i kierowali wozy na boczne parkingi. John z trudem zaparkował swój wóz gdzieś w polu.

— Resztę drogi zrobimy piechotą!

Włączyliśmy się w tłum ludzi zmierzających w stronę Birmingham. Tłum kibiców warszawskich udający się w stronę Stadionu Dziesięciolecia na otwarcie Wyścigu Pokoju jest niczym w porównaniu z tym, co widziałam pod angielskim miastem Birmingham. Ruch kołowy został wstrzymany całkowicie. Ludzie szli ulicą szeroką ławą. Policjanci stali wzdłuż chodników, machali rękami i starali się utrzymać jaki taki porządek!

Był już zmierzch, gdy dotarliśmy przed Royal Palace (tu miały odbyć się występy).

— John, ja tam nie pójdę! Zaduszę się! Nie chcę! — cofałam się przerażona, ale John mocno trzymał mnie za rękę.

— Nie bój się! Nic się nie bój. Dostaniemy się! Mamy przecież bilety — uspokajał mnie.

Jak dostałam się do środka teatru, nie wiem zupełnie. Graniczyło to prawie z cudem. Pamiętam jedynie długi, ciasny szpaler policjantów ochraniających tych, którzy trzymając wysoko w górze bilety, posuwali się do wejścia. Z tyłu, za policjantami zwarty, wrzeszczący tłum nastolatków (tych bez biletów) napierał groźnie. Co chwila ktoś stamtąd zdołał się wyrwać, odbywało się szamotanie, zachwianie szeregu policjantów i znów tłum falował. I krzyczał. Bez przerwy krzyczał!

Gdy usiedliśmy wreszcie na swoich miejscach, odetchnęłam z ulgą. Spojrzałam na Johna. **Był spocony, czerwony i potargany. Ja chyba wyglądałam** tak samo.

— Oberwali mi wszystkie guziki u płaszcza — rzekł spokojnie John. — Ale grunt, że jesteśmy!

Gdy rozsunęła się kurtyna, w pierwszej chwili nie widziałam nic, tylko rząd policjantów, stojących przed rampą sceny i trzymających się mocno za ręce. Przeraźliwy wrzask widowni zwrócił moją uwagę na boczne wejście, którym wbiegali właśnie na scenę Beatlesi.

Czterech czupryniastych chłopaków, w bordo żakietach i plastykowych spodniach, kłaniało się i podnosiło do góry ręce. Mówili coś, ale słowa ich tonęły w ogólnym wrzasku. Po chwili nastała cisza. Ale tylko na moment. Gdy Beatlesi wzięli gitary do rąk, gdy jeden z nich usiadł przy perkusji, gdy zabrzmiały pierwsze tony melodii „The hard day's night" — wrzask na widowni podniósł się na nowo.

A potem nic już nie słyszałam. Widziałam tylko tańczących i grających na scenie Beatlesów, widziałam rzucane im kwiaty, czekolady i lalki, fruwające na widowni marynarki, buty i szaliki. I widziałam na widowni okropny tumult. Co chwila policjanci wynosili jakąś histeryzującą dziewczynę za kulisy. Co chwila szamotali się z napierającymi na scenę widzami.

Beatlesi śpiewali. Ale co, dalibóg nie wiem! Ich piosenki zagłuszał potworny wrzask, gwizd i tupanie widowni. Głośniki rozmieszczone na sali ustokrotniały ten hałas.

Poprzez gitary i perkusję słyszałam niekiedy strzępy piosenek.

O... Ya... ye... ye...
Give me four hand...
Imagine I'm in love with yon...
O... ye... ye... ye...

Patrzyłam bezradnie na Johna. Bolała mnie głowa. Czułam, że jeszcze chwila, a pękną mi bębenki w uszach. Ale John nie widział mnie. Wrzeszczał tak samo, jak inni i wpatrywał się nieprzytomnym wzrokiem w czterech czupryniastych chłopaków na scenie.

Nazajutrz, gdy potłuczona i obolała obudziłam się w londyńskim mieszkaniu, wydawało mi się, że jeszcze jestem tam, w Royal Palace w Birmingham. W uszach dudniło mi okropnie, a w głowie huczał bez przerwy jeden i ten sam wrzaskliwy motyw: „O... Ye... ye..."

— Jak znalazłam się tutaj? — spytałam moich gospodarzy.

— O... zwyczajnie! — odpowiedzieli. — Przywiózł cię John. Byłaś półprzytomna. Podobno trochę cię poturbowano przy wyjściu. Ale nie martw się. Twój płaszcz już oddaliśmy do pralni i do cerowni.

— John wyglądał jeszcze gorzej od ciebie, wiesz — powiedziała mi młodsza córeczka moich znajomych. — Ach Boże, jak ja ci zazdroszczę, żeś tam była!

Przymknęłam oczy. Cóż miałam jej powiedzieć?

Domy z soli

Ciekawe

● **Takie domy, których ściany i dach zrobiono całkowicie z soli, spotkać można w osadzie Tehari, leżącej na Saharze (niedaleko bogatych pokładów soli). Okolice te należą do najbardziej suchych miejsc na świecie. Opady deszczu są niezwykłą rzadkością, nie ma więc obawy, aby domy mogły się rozpuścić.**

„Królewskie" jajko

● **W kopenhaskim ZOO zdarzył się wypadek, który uczeni duńscy uznali za sensację na skalę światową. Oto samica pingwina królewskiego zniosła jajko.**

Dotychczas nie zanotowano na świecie wypadku, by pingwiny królewskie wydały na świat potomstwo gdziekolwiek poza swą ojczyzną — Antarktydą.

Sztuczny kot

● **W Japonii jest bardzo mało kotów, nie brakuje jednak myszy.**

Niedawno myszy spowodowałyby poważną katastrofę kolejową: przegryzły one bowiem na jednej ze stacji kabel sygnalizacyjny. Japończycy wydając walkę myszom uzbroili się w... sztucznego, elektrycznego kota. Co prawda nie łowi on myszy, a tylko straszy je: będąc włączony do kontaktu, elektryczny kot wydaje miauczenie, do złudzenia przypominające miauczenie żywego kota.

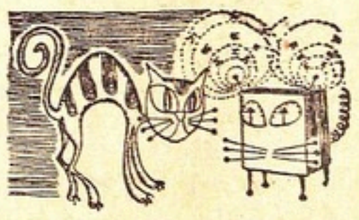

Indiański barometr

● **Gauchos wypasający swoje stada w Andach Patagońskich zwracają baczną uwagę na stożek wulkanu Lanin. Na kilkanaście godzin przed nadejściem burzy nad jego szczytem zaczynają się pojawiać obłoki, jest to sygnał do zaprzestania pracy i schronienia się w bezpieczne miejsce.**

Że prognozy wulkanu nie są zjawiskiem przypadkowym, świadczy nawet jego nazwa. W języku Indian nazywa się on Mapouche, czyli „Wskazujący pogodę".

STRASZENIE WIATRU

● **Wichura uważana była często za złą istotę, którą można przestraszyć i przepędzić. Gdy na Dalekiej Północy sztormy i niepogody trwają zbyt długo i Eskimosom zaczyna brakować żywności, próbują zaczarować wiatr, sporządzając długi bicz z trawy morskiej i tak uzbrojeni udają się na brzeg, gdzie uderzają biczem w kierunku wiatru, wołając: „Taba"! (dosyć!).**

ŻÓŁW OLBRZYM

● **W zatoce Toowoon niedaleko Sydney (Australia), rybak Red Dennis złowił w sieci żółwia-olbrzyma, który ważył... tonę. Rybak sądził, że uda mu się drogo sprzedać zdobycz. Nie znalazł jednak nabywców, bo żółw był zbyt wielki. Ponieważ jedynym akwarium, w którym można byłoby przetrzymywać żółwia była... zatoka, gdzie go złowiono, olbrzym został więc wypuszczony do morza, a rybak siedząc na jego skorupie odbył przy okazji małą przejażdżkę po zatoce.**

SKRZYPECZKI DLA KRASNOLUDKÓW

Jeden z mieszkańców Ukrainy, Michał Nastiuk, skonstruował skrzypce długości... 11,5 mm. Składają się one z 30 części, przy czym każda z nich ma własne płaskorzeźby.

Oryginalny konstruktor zabrał się do tej pracy po przeczytaniu wiadomości, że w Armenii udało się zbudować skrzypce długości 14 mm. Mastiuk już poprzednio zbudował aparat fotograficzny wielkości... ziarnka fasoli!

KTÓRY MNIEJSZY?

W rubryce „Ciekawe!" podawaliśmy niedawno, że najmniejszym ptakiem w naszym kraju jest strzyżyk — wole oczko. Waży on zaledwie — 7 — 11 gramów, a długość jego wynosi 9,5 cm.

I oto Szymek Kijewski (jak wynika z jego listu — zapalony ornitolog) znalazł w atlasie ptaków jeszcze mniejszego ptaszka, żyjącego w naszym kraju, prawdziwego karzełka. Jest nim mysikrólik, który waży 4 — 6 gramów i jest o pół centymetra krótszy od strzyżyka.

Szymku! — masz rację. Najmniejszym ptakiem w naszym kraju jest mysikrólik. Dziękujemy!

Jest to opowieść o ludziach, którzy z narażeniem życia ratowali cenną pamiątkę narodową z rąk hitlerowskich okupantów. Niektórzy z nich w obronie wspaniałego dzieła sztuki oddali swe życie, inni poszli do obozów koncentracyjnych, lochów gestapo. I chociaż jedyny w Polsce obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża" dostał się w ręce Niemców, to niewątpliwie dzięki ofiarności i poświęceniu Polaków znów zachwyca nas swoim artyzmem.

WALKA o RUBENSA

DWAJ MĘŻCZYŹNI BIEGLI, rozpryskując kałuże, które zostały jeszcze po wieczornym deszczu. W ciemnościach potykali się o nierówne płyty chodnika; wrześniowe noce są długie, a teraz, choć dochodziła piąta rano, ledwie świtało. Pierwszy biegł ksiądz, wysoko w górę unosząc sutannę. Za nim, skacząc z płyty na płytę, ledwie mogąc nadążyć, sapał kościelny Franciszek Rybarczyk.

Dobiegli do kościoła i obaj z wysiłkiem otworzyli ciężkie wrota. Kościół św. Mikołaja w Kaliszu, nazwany również kanonicznym, jest najstarszym kościołem w Polsce i został wybudowany przez Bolesława Pobożnego około roku 1253. Gdzieś od zachodu dobiegł ich pomruk artylerii, daleki zdawałoby się grzmot.

— O, słyszy ksiądz?! — powiedział Rybarczyk. — A skąd ksiądz dowiedział się o wybuchu wojny?

— Obudziłem się w nocy. Ten obraz nie dawał mi spokoju, i nastawiłem radio. Zacząłem szukać jakiejś polskiej stacji. Usłyszałem Berlin i wszystko zrozumiałem. Przybiegłem do pana. Teraz musimy schować najcenniejsze rzeczy lub wywieźć do Warszawy. Granica blisko i mogą wpaść Niemcy, o pożar też w takiej sytuacji nie trudno — wyjaśnił stroskany ksiądz Stanisław Zaborowicz.

W kościele czekał na nich ksiądz Franciszek Nowacki.

WIELKA TAJEMNICA

ZACHOWYWALI się jak spiskowcy. Najpierw zdjęli piękny i bezcennej wartości obraz Rubensa. Wspaniałe dzieło przenieśli do zakrystii, gdzie stała zawczasu przygotowana wielka skrzynia. Proboszcz Zaborowicz już od kilkunastu dni nosił się z myślą wysłania dzieła Rubensa do Warszawy, ale wielkie przywiązanie mieszkańców najstarszego miasta w Polsce do tego obrazu wstrzymywało jego decyzję. Teraz należało działać błyskawicznie.

W godzinę później troskliwie zapakowany obraz znalazł się na Kaliskim dworcu. Wkrótce nadjechał pociąg pospieszny do Warszawy i skrzynia znalazła się w czeluściach wagonu bagażowego, konwojowana przez księdza Nowackiego. Nikt, absolutnie nikt nie wiedział, co zawiera przesyłka.

Tymczasem ksiądz Zaborowicz i Rybarczyk przystąpili do ukrycia cennych złotych kielichów wysadzanych drogimi kamieniami, srebrnych świeczników bogato zdobionych, złotych tac. Oprócz wartości materialnej rzeczy te stanowiły bezcenne pamiątki historyczne i kulturalne. Składały się na nie podarunki królów i książąt polskich, którzy przez blisko siedemset lat hojną ręką obsypywali darami prastary kościół.

Przy bocznym ołtarzu Matki Boskiej ksiądz Zaborowicz usunął płytę z podłogi: ukazała się czeluść. Była to stara skrytka, margrabiów, o której wiedzieli tylko ksiądz Zaborowicz i Nowacki. Teraz tam zaczęli ukrywać cenne pamiątki.

Każdy przedmiot trzeba było troskliwie opakować i ustawić w wąskiej długiej skrytce. Toteż praca trwała cały dzień. Wieczorem powrócił ksiądz Nowacki. Zrelacjonował on swoją misję. W okolicy Łodzi hitlerowcy bombardowali pociąg, ale na szczęście nie wyrządzili szkody. W Warszawie skrzynia została ukryta w podziemiach Muzeum Narodowego.

NIEMCY SZUKAJĄ OBRAZU

W KILKA DNI po zajęciu Kalisza hitlerowcy aresztowali obu księży. Trzymali ich, poddając torturom, w siedzibie gestapo. Pewnej nocy Rybarczyków obudziło łomotanie do drzwi.

— Otwierać! Szybko, szybko! Policja! — wrzeszczeli Niemcy.

Rybarczykowa otworzyła. Wpadło kilku mężczyzn odpychając wylęknioną staruszkę.

— Gdzie syn?! — krzyknął cywil, który im przewodził, i nie czekając odpowiedzi wbiegł do sypialni.

— Ty jesteś kościelny?! — znów wrzasnął i zaczął bić młodego Rybarczyka. — Gdzieście ukryli obraz Rubensa i kościelne kosztowności? — pytał w przerwach między jednym i drugim ciosem.

— Nic nie wiem o ukryciu przedmiotów liturgicznych i obrazu — skłamał Rybarczyk, ocierając krew z twarzy. — Już przed wybuchem wojny został zdjęty, może zabrały go polskie władze?

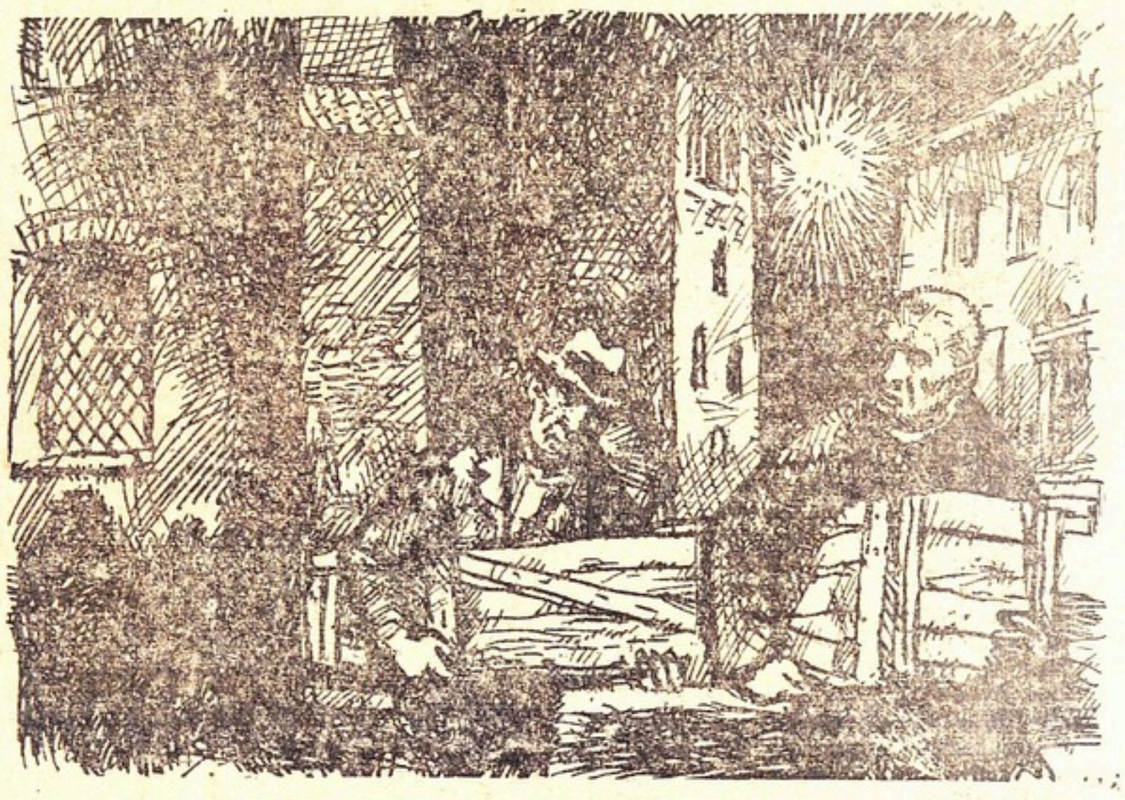

— Ty psie! — wrzasnął Niemiec. — Jeszcze się z tobą policzymy. Zbieraj się z nami.

Opuścili mieszkanie zabierając Rybarczyka.

Pewnego dnia dokładna rewizja w kościele doprowadziła do ujawnienia skrytki. Wszystkie ukryte tam przedmioty liturgiczne zostały przez hitlerowców zrabowane i już nigdy nie wróciły do Kalisza.

Jednocześnie nadeszła wiadomość, że ksiądz Zaborowicz został wywieziony do obozu zagłady w Radogoszczy i tam rozstrzelany. Księdza Nowackiego uwięziono w obozie koncentracyjnym, gdzie przebywał do końca wojny.

KRADZIEŻ DZIEŁA

DLA MIESZKAŃCÓW nastały ciężkie czasy hitlerowskiej okupacji. Większość Polaków została już wysiedlona z Kalisza, który przyłączono do Niemiec. Ci, którzy pozostali, gnieździli się na przedmieściach, w suterenach i na poddaszach.

Stefania Kowalowa, przed wojną nauczycielka, pracowała początkowo w niemieckiej szwalni, a później skierowano ją do sprzątania magistratu. Tak jak ona, pracowało wielu innych Polaków, którzy wszystkimi sposobami starali się pozostać na ziemi swych przodków, kościoły zostały zamienione na magazyny, a słynną bibliotekę z kościoła św. Mikołaja wywieziono, paląc część cennych książek i rękopisów.

Pewnego dnia Kowalowa, sprzątając gabinet miejscowego dygnitarza, podsłuchała jego rozmowę z innym Niemcem. Dowiedziała się, że hitlerowcy przetrząsając podziemia Muzeum Narodowego w Warszawie odnaleźli obraz Rubensa. Wynikł przy tym spór, który rozsądził sam Hitler. Odnaleziony obraz chciał sobie przywłaszczyć szef generalnej guberni Hans Frank. Na wspaniałe dzieło miał również ochotę Artur Greiser — szef tzw. „Kraju Warty", utworzonego z Wielkopolski i włączonego do Niemiec. Kalisz należał właśnie do „Kraju Warty". O obraz upominało się również muzeum w Berlinie. Hitler przydzielił obraz Greiserowi.

Zasłyszana przez Kowalową wiadomość natychmiast rozeszła się wśród Polaków, wywołując ogólne przygnębienie. Niektórzy sądzili, że pogłoska okaże się nieprawdziwa i obraz ocalał, ukryty w bezpiecznym miejscu. Ale wiadomość była prawdziwa. Dzieło zostało przywiezione do Poznania. Po pewnym czasie Niemcy wysłali obraz do Kalisza i powiesili w Ratuszu. Polacy oglądali go nieraz ukradkiem w czasie załatwiania różnych spraw w niemieckich urzędach, mieszczących się w tym gmachu.

TATERKA RATUJE OBRAZ

WOJNA miała się ku końcowi. Pewnego dnia obraz Rubensa znikł. Wkrótce błyskawiczna ofensywa radziecka wyzwoliła Kalisz.

W kilka dni po oswobodzeniu grupa robotników poszła sprzątać Ratusz. W podziemiach natrafili na wielką, masywną skrzynię. Wszelkie próby otwarcia jej spełzły na niczym. Wtedy jeden z mężczyzn zaproponował: — Przetnijmy skrzynię!

Pod ręką znalazła się piła. Kiedy znaczna już część skrzyni była przepiłowana, przyszedł robotnik Taterka i zorientowawszy się o co chodzi, kazał przerwać pracę.

— Chyba nie macie razumu! — zganił ich. — Przecież niszczycie to, co znajduje się wewnątrz. A chyba Niemcy nie schowali tam byle czego...

W ruch poszły łomy. Przepiłowane deski dały się łatwo wyłamać. W środku znaleźli mnóstwo pakuł, a gdy je usunęli — na dnie zobaczyli wspaniały obraz Rubensa, który szczęśliwym trafem przetrwał wojnę. Dla wszystkich stało się jasne, że dzięki błyskawicznemu atakowi Rosjan, uciekający w popłochu Niemcy nie zdążyli zrabować dzieła.

Od Ratusza do kościoła św. Mikołaja nie jest dalej jak 200 m. Kaliszanie wsadzili dzieło do dorożki i triumfalnie odwieźli do prastarej, zabytkowej świątyni, w której jak kiedys znów wisi.

SŁAWOMIR ORŁOWSKI
Rys. M. Kościelniak

BEZCENNE DZIEŁO

DLA POLAKÓW obraz Rubensa przedstawia wartość bezcenną, ponieważ na zawsze wrósł w historię naszego kraju. Rubens namalował jeszcze trzy inne sceny „Zdjęcia z krzyża", ale najbardziej udanym obrazem jest ten z Kalisza. Obecnie pozostałe obrazy są po jednym w Holandii, Francji i ZSRR. (słynna galeria Ermitaż w Leningradzie). Znawcy oceniają kaliski obraz Rubensa na sumę ok. 1 mln. dolarów.

JEDYNY „RUBENS"

GŁÓWNĄ OZDOBĄ oraz najcenniejszym i najbardziej znanym zabytkiem najstarszego miasta w Polsce — Kalisza, jest piękny obraz Rubensa „Zdjęcie z krzyża". Obraz ufundował miastu starosta bydgoski, kaliszanin Piotr Żeromski vel Żeroński w 1621 roku.

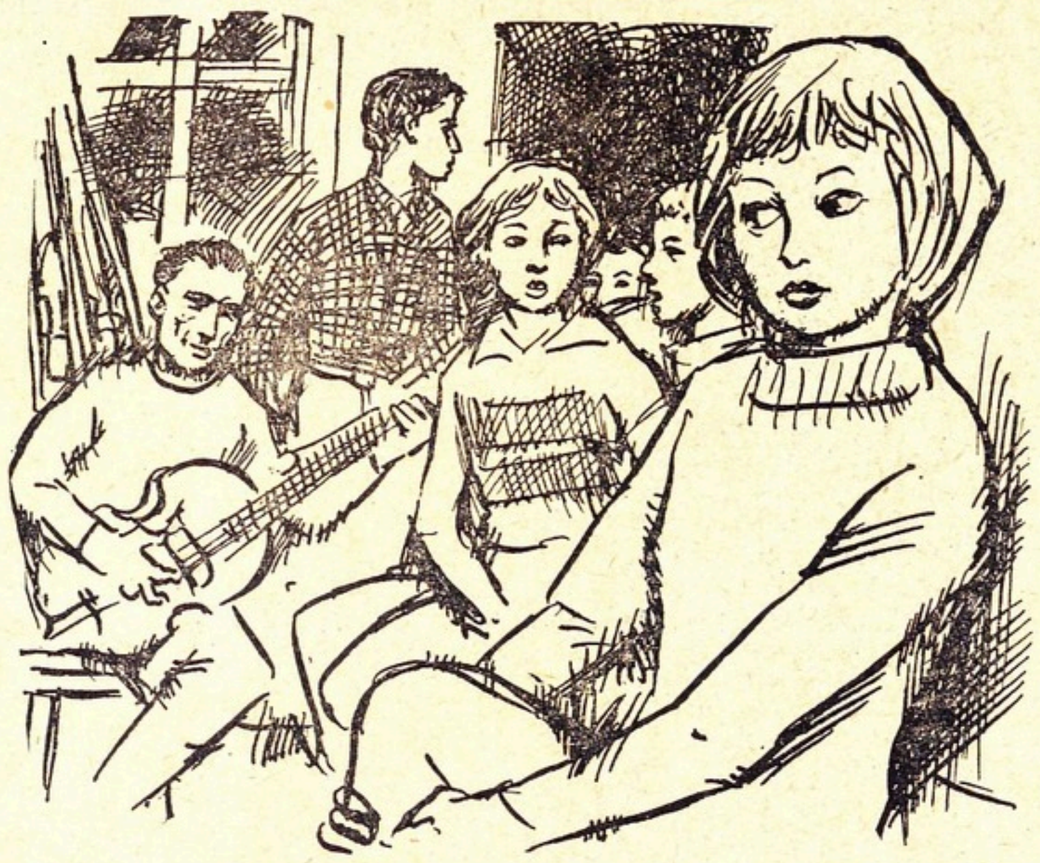

Marta i Elżbieta

Napisała: WANDA KRZEMIŃSKA

OTO PAN LESISZ: starszy już człowiek, ubrany w dość wyszarzały strój sportowy. Na głowie nosi zabawną czapeczkę narciarską z małym pomponikiem. Co roku jeździ z najstarszymi klasami na zimowisko w tej właśnie czapeczce. Znają ją wszyscy uczniowie.

OTO MARTA. To dziewczyna ıście na medal — wysportowana, wesoła. Elżbieta mówi zawsze, że drugiej takiej nie ma w całej klasie. Być może. Ale w tym roku — Marta (o czym wie tylko ona sama) nie jest podobna do siebie. Wszystkiemu winien Tadek. Wspomnienie jego oczu, uśmiechu, dźwięku głosu prześladuje Martę od rana do wieczora. Toteż — zimowisko, na którym mieli razem przebywać całe dziesięć dni, było dla niej po prostu darem losu. Marta zużyła wiele energii zanim wytłumaczyła w domu, że o wiele lepiej będzie, jeśli pojedzie ze swoją klasą w góry — niż do Olsztyna, do babci. Mama wprawdzie nie bardzo była z tego zadowolona, ale w końcu Marta dostała nawet ortalionową wiatrówkę, o jaką daremnie prosiła od wiosny. No i pojechała.

ELŻBIETA? To od wielu lat najserdeczniejsza przyjaciółka Marty. Blondyneczka, nieśmiała i wrażliwa. Wpatrzona w energiczną Martę. No i — w ogóle nie wiedząca o istnieniu Tadka. To znaczy — Elżbieta wie, oczywiście, że w klasie jest Grochala, ale jej to nazwisko mówi nieskończenie mniej niż Marcie, dla której ono znaczy tyle samo — co: „Wspaniały, nieporównywalny z nikim Tadek",

TADEK? No cóż — wysoki, przystojny chłopak. Podoba się dziewczynkom. Chłopcy pomawiają go o lizusostwo. Ale on nic sobie nie robi, ani z pierwszego, ani z drugiego. Chodził przedtem do siedemdziesiątej trzeciej, teraz się przeniósł do tej właśnie — sześćdziesiątki. Szybko stał się popularną postacią. W samorządzie i w klasie. W kółku geograficznym i zespole sportowym. Tadek — i kropka. Każdy wie, o kogo chodzi.

Rozumiało się samo przez się, że podczas tego wyjazdu pomocnikiem, prawą ręką pana Lesisza powinien być Tadek. On sam też w to nie wątpił. Marcie jednak już w czasie drogi wydawało się, że pan Lesisz go nie docenia. Jakże: Tadek rwie się do roboty, chce robić listę tych, którzy umieją jeździć na nartach, a pan Lesisz na to, że sam wie, bez listy, którzy umieją, a którzy — nie. „Zgasił" go tak, że Tadek, obraziwszy się, przeniósł się do innego przedziału.

I teraz, kiedy idą na pierwszą wycieczkę — jeszcze zanim się zaczną narciarskie sprawy — Marta widzi, że Tadek kręci się koło pana Lesisza, a on rozmawia z nim tyle samo, co z innymi. Marcie żal się go robi i przyśpiesza kroku, aby Tadka dogonić.

Elżbieta zaś, nic nie rozumiejąca, nie może wytrzymać tempa. Raz i drugi przystaje, wreszcie rezygnuje z towarzyszenia koleżance i wlecze się na samym końcu.

— Nie przystawać, maruderzy, bo będziecie musieli wracać do domu! — krzyczy Tadek. Zdjął czapkę i wygląda bardzo po sportowemu w rozpiętej wiatrówce, bez szalika, z rękawami głęboko zasuniętymi w kieszenie. Tak wołając — patrzy w stronę pana Lesisza, jakby czekał aprobaty. Ale wychowawca nic nie mówi. Zatrzymuje się i przepuszcza koło siebie cały szereg, wspinający się pod górę. Czapeczka z pomponikiem teraz zamyka pochód. Marta idąca w czołówce zauważa to i czerwieni się nagle. Wydaje się jej, że zostawiła Elżbietę swemu losowi.

— Przecież nie muszę jej niańczyć! — oburza się sama przed sobą. — To wycieczka, a nie zabawa na szkolnym korytarzu!...

— Marta, ale ta twoja przyjaciółka to mięczak — zwraca się do niej Tadek. Marta widzi tuż przed sobą tę twarz, która tyle razy zjawiała się w jej myślach i na chwilę sztywnieje.

— Dlaczego? — pyta nieswoim głosem.

— Takie jak ona powinny w domu zostawać, a nie psuć innym przyjemności — mówi dalej Tadek. — Że też taka fajna dziewczyna jak ty, może się przyjaźnić z taką Elżbietą.

Tadek zwrócił na nią uwagę... I nawet powiedział jej komplement... Myśli Marty gonią jedna drugą w popłochu.

...Gdy będę się także nabijać z Elżbiety — pójdziemy razem. A ona wcale się nie dowie, co mówiłam... Cóż to jej może szkodzić zresztą...

I mówi dość cicho, ale wyraźnie:

— Ja się z nią nie przyjaźnię... Też! Przyczepiła się do mnie przed paru laty i to tak trwa.

I naprędce fabrykuje jakiś fakt, mający świadczyć o tym, jaka ta Elżbieta jest nieciekawa. Idą potem razem z Tadkiem i zaśmiewają się z wlokących się w ogonie niedołęg i fujar.

...Wieczór w górskim schronisku. Elżbieta ożywiona i roześmiana opowiada wszystkim wokoło, jak zabrakło jej odwagi i już miała wrócić na dół.

— Gdyby nie pan Lesisz — mówi — wróciłabym. Ale szedł z nami, no i jesteśmy!

Widać, że jest bardzo dumna z tego wyczynu.

...Jest niby wszystko tak, jak wymarzyła sobie Marta. Wieczór pachnący śniegiem. Wysoki, czysty księżyc nad górami. Tadek obok niej. Właściwie więc powinna być zadowolona. A jednak czuje ucisk serca.

— Śpiewajmy — proponuje pan Lesisz i bierze gitarę. Piosenka rozbrzmiewa za piosenką.

...Kto raz przyjaźni poznał moc,
nie będzie trwonić słów.
Przy innym ogniu,
w inną noc,
do zobaczenia znów...

Elżbieta śpiewa z całej duszy. W pewnej chwili podnosi głowę i z ufnym błyskiem oczu uśmiecha się do Marty. Jest bardzo ładna w tej chwili. Ale nie Elżbieta interesuje w tej chwili Martę — a ona sama. Marta Kozłowska.

— Więc jestem taka? — dziwi się sama sobie. — Więc mogę tak kłamać? Więc dlatego, żeby przypodobać się Tadkowi — zdradziłam naszą przyjaźń z Elżbietą?

Czuje nagle jakieś przykre pokrewieństwo z Tadkiem, o którym wie już, że niewiele jest wart. Robi się jej bardzo smutno.

Nikt nie widzi prócz Elżbiety, że Marta przestaje śpiewać i spuszcza nisko głowę.

Rys. M. Kościelniak

Harcerze na start!

NA START XI Zimowych Igrzysk Harcerskich. W tym roku program jest bardzo bogaty i każdy znajdzie coś dla siebie ciekawego. Są narty i ślizgi saneczek, jest „Złoty Krążek" dla chłopców i „Błękitna sztafeta" dla łyżwiarek, są saneczkowe tory przeszkód i narciarskie biegi patrolowe (dla starszych).

Warto więc wykorzystać zimowe wakacje na treningi. Dlatego każdy zastęp powinien wykorzystać dobrą pogodę i wyruszyć na miasto, a drużyna — zorganizować zawody na śniegu i lodzie dla wszystkich! Nie tylko harcerzy!

Zbiórka w domu

MINĘŁY już święta, ale wakacje jeszcze trwają. Warto więc zorganizować zbiórkę całego zastępu w czyimś domu (u zastępowego, lub u tego harcerza, który ma najlepsze warunki). Przed zbiórką koniecznie trzeba uzyskać zgodę rodziców.

Taka domowa zbiórka musi być równie dokładnie przemyślana, jak każda inna. To znaczy trzeba ułożyć jej plan (co się będzie robiło), termin jej ukończenia (żeby nie przeszkadzać dorosłym za długo, nie powinna trwać dłużej niż półtorej godziny) i koniecznie trzeba po sobie zostawić idealny porządek.

Na zbiórce można pograć w różne gry (przynoszą je wszyscy harcerze), można trochę pośpiewać, a także wykorzystać „Świat Młodych".

Pamiętajcie! W każdym numerze „Świata Młodych" jest wiele pomysłów do wykorzystania na zbiórkach.

Nasi przyjaciele czekają!

KTO JEST tym przyjacielem czekającym na pomoc ze strony harcerzy? Oczywiście ptaki i zwierzęta, dla których zaczął się bardzo trudny okres. Dlatego każda drużyna harcerska mimo ferii powinna wyznaczyć dyżurnych, którzy każdego dnia przyjdą do szkoły, by wsypać pożywienie do karmników dla ptaków.

Warto też porozumieć się z panem leśniczym i zorganizować całodzienną wyprawę do lasu. Na nartach i z sankami. W lesie wyłożymy karmę dla zwierząt, będziemy tropić wnyki i sidła, a przy okazji poznamy życie mieszkańców lasu w zimie.

Podczas drogi można zorganizować między zastępami gry i podchody, a także wielką bitwę na śnieżki, taką, o jakiej pisaliśmy w poprzednim numerze.

N. R. w akcji

RANKIEM chodniki wyglądają jak tory łyżwiarskie. Są śliskie i łatwo o upadek. Na rzeczkach i zamarzniętych stawach ślizgają się maluchy, nie myśląc wcale o tym, że w każdej chwili lód może pęknąć, i w najlepszym razie czeka je nieprzyjemna kąpiel. Po jezdniach śmigają saneczki i łyżwiarze, co bardzo często kończy się groźnym wypadkiem.

Wystarczy uważnie rozejrzeć się wokół, by przeksnać się, ile jest do zrobienia na szlaku Niewidzialnej Ręki.

Na szlaku N.R. działamy niewidzialni. Na szlaku N.R. zostawiamy nasz bilet wizytowy: rysunek ręki i znak N.R.

Na szlak N.R. wyrusza cały zastęp, albo tylko jego część, ci, co mieszkają blisko siebie. Uprzednio jednak trzeba wszystko sobie przygotować: piasek lub popiół i szufelki do posypywania chodników i jezni, tablice z napisami ostrzegającymi przed ślizganiem się po jeziorze itp. itd.

N.R. działa tam wszędzie, gdzie jest potrzebna!

Drodzy Śmiechoczłonkowie!

WIDZĘ, jak z wielkim zaciekawieniem wpatrujecie się w aparat stojący na stole prezydialnym, widzę, jak nad głową każdego z was świeci się potężny znak zapytania, niczym aureola, a natężony jak na klasówce sposób myślenia na próżno stara się rozsupłać zagadkę — co to?

Urządzenie, które tu widzicie, jest to aparat rekonensansofoniczny i, choć pozornie wygląda zbyt skomplikowanie, jest prosty w obsłudze. Zbudowałem go między innymi z maszynki do mięsa, trąbki Eustachiusza i pralki typu „Frania". W czasie użycia aparat nieco huczy, ponieważ „Frania" była już mocno sfatygowana, ale to nie zakłóca odbioru, a jedynie wbija w uszy delikwenta nieco więcej decybeli.

Głos z sali:

— Kolego prezesie, proszę mi wybaczyć, może niestosowna uwaga, ale antena przypomina nieco stary parasol...

— Śmiechoczłonek zupełnie słusznie zauważył. Wobec trudności zdobycia w Składnicy Harcerskiej kluczowych materiałów technicznych, zamiast kluczy, użyłem szkielet parasola babci. Ale do rzeczy. Sposób działania aparatu jest następujący. Z chwilą podłączenia aparatu do źródła prądu, niekoniecznie elektrycznego, aparat zaczyna się nagrzewać. Aby przyspieszyć rozgrzewkę urządzenia, można ustawić aparat przy piecu, lub nakryć go na 10 minut pierzyną. Kiedy aparat jest już ciepły, co można stwierdzić, przykładając do jego dna pośliniony palec wskazujący, ustalamy pokrętem metrycznym długość fal i naciskamy klawisz. Z części parasolowej wystrzeli wtedy wiązka promieni rekonensansowych. Promienie polecą w dal, a natrafiwszy na swej drodze odpowiedni obraz, odbiją go na ekranie aparatu.

— Uwaga, włączam urządzenie! Proszę przymrużyć oczy!

Prezes nacisnął klawisz. Aparat zaczął zgrzytać i posypały się iskry. Tytus, zaopatrzony w gumowe rękawice, manipulował przy przełącznikach. Choć obrazu na ekranie jeszcze nie było, z głośnika dochodził już plusk nalewanej do wanny wody i w miarę rozgrzewania się aparatu można było rozróżnić coraz wyraźniejsze słowa:

— Stasiek, sypać jeszcze, czy dosyć?

— Musi być 3 procent.

— Coś ty, tylko trzy?! Chyba z 10 albo jeszcze więcej. Inaczej śledzie w morzu nie byłyby takie słone.

— Przecież to nie śledzie są słone od morza, tylko morze od śledzi. Zresztą w domu nie ma więcej soli.

W tym momencie ekran rozświetlił się i ukazało się wnętrze łazienki. Prezes Tytus przestał manipulować pokrętkami i zagłębił się z powagą w fotelu.

Na ekranie jeden z chłopców sypał z toreboki sól do wanny, a drugi mieszał wodę kijem.

— Teraz wlej tusz, a ja przyniosę z lodówki meduzy.

— Masz naprawdę żywe meduzy?

— A coś ty myślał? Jak się bawić, to się bawić. Meduzami będzie malinowa galaretka.

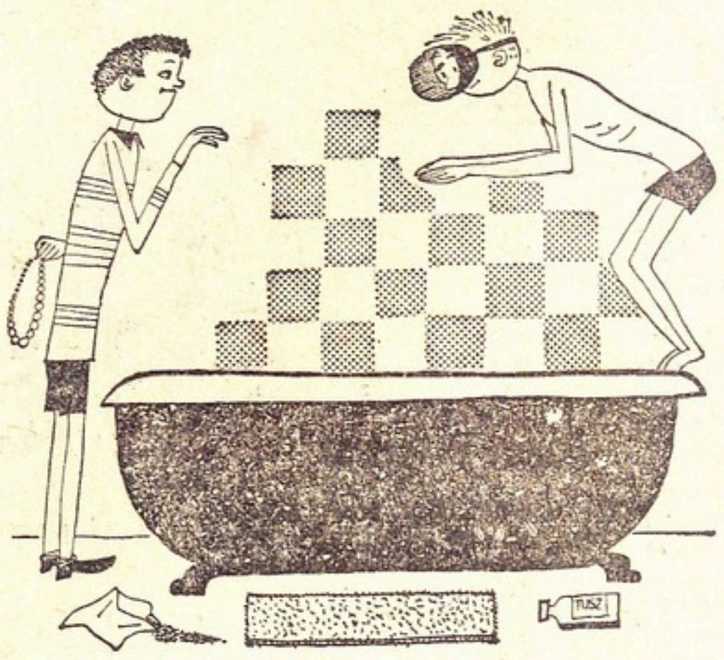

Jeden z chłopców wyszedł, a drugi wlał do wanny czerwony tusz i woda natychmiast przybrała piękny karminowy kolor, co dobrze było widać, bo obraz na ekranie rekonensansofonu był kolorowy.

Pierwszy chłopiec przyniósł naczynie z apetyczną galaretką.

— Stasiek, nie lepiej, jak byśmy ją zjedli?

— Coś ty? Galaretki będziesz jadł jeszcze nieraz, a w „Morze Czerwone" — jak babcia wróci — możesz się już więcej nigdy w życiu nie bawić. Zakładaj maskę, rzucam perły. Będziemy teraz poławiaczami pereł.

Henio włożył maskę płetwonurka a Stasio wyłuskiwał z naszyjnika mamy perełki i rzucał do wanny.

— O rety, Stasiek, ale zimna! Przecież mieliśmy się bawić w ciepłym „Czerwonym Morzu"!

— Co się łamiesz! Mierzyłem. Ma 22 st., tak jak jest napisane w encyklopedii. Zresztą się przyzwyczaisz.

Henio dał nurka i m... rze wystąpiło natychmi... z brzegu, płynąc czerwonym strumieniem aż do pokoju. Wtem zadźwięczał dzwonek.

— Babcia wraca! — krzyknął Stasio.

— Mam! — wynurzył się z wody Henio, ściskając w garści perełkę. Calusieńki czerwony, wyglądał jakby był poparzony.

— Okręć się ręcznikiem, ofiaro, babcia wraca!

— Co się tu dzieje?! Co to za lucyfer w ogniu smażony!

— Nic, babciu, to... Indianin ze szczepu Dajkota. Właśnie Indianie z Ameryki odwiedzili nas w szkole i jednego zaprosiłem na obiad. Już zdążył zjeść prawie całą galaretkę.

Tytus wyłączył aparat.

— Lepiej nie oglądajmy, co będzie potem.

— To było wspaniałe, prezesie! Genialny wynalazek! — zawołali Śmiechoczłonkowie. — Czy rzeczywiście aparat może uchwycić każdego, kogo zechce?

— Niestety, nie. Fale rekonensansowe odbijają się jedynie od tych, którzy noszą gwoździe w kieszeniach.

— W takim razie, prezesie, od dziś nie nosimy gwoździ, żeby się strzec promieni.

— To nie pomoże. Pracuję obecnie nad ulepszoną wersją aparatu, którego promienie dotrą do każdego, a tych, którzy robią głupie kawały, będą szczypać w uszy

„SWIAT MŁODYCH" — gazeta harcerska — ukazuje się we wtorki i piątki. Adres redakcji: Warszawa, ul. Mokotowska 24. Telefon 21-15-61. Wydawca — Wydawnictwo „Prasa Młodzieżowa", RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 3.90, kwartalna zł 11.70. Wpłaty dokonywać można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 15 dnia każdego miesiąca poprzedzającego prenumeratę. Zam. 1820. Z-36

KAPELUSZ ZA STO TYSIĘCY

(Ciąg dalszy ze str. 12)

— Trudno. W każdym razie przyjdę zobaczyć te zdjęcia gniazd remisów.

— Remizów — poprawił mnie. — Zapamiętaj, Słowicza siedemnaście, willa „Marysieńka".

— Ciao! — podałam mu rękę.

Odsunął się przezornie, uniósł dłoń do czoła i pożegnał mnie po żołniersku.

To nie mój kapelusz!

WRACAŁAM z pełnym słoikiem złocistych bursztynów. Czułam się jak poszukiwacz złota z Klondike, wracający do domu z pełnym workiem złotego piasku. Ale nawet najwspanialszy poszukiwacz złota jest tylko człowiekiem i po dniu pracy czuje, że ma pustkę w żołądku. Ja również czułam, więc postanowiłam wzmocnić nadwątlony organizm odpowiednią ilością kalorii. Grunt to kalorie. Jeżeli nie ma odpowiedniej ilości kalorii, to człowiek słabnie. Ja również słabłam...

Na rogu ulicy Słowiczej i Jana z Kolna poczułam się jednak dużo lepiej. Zobaczyłam bowiem wielki szyld: „KAWIARNIA „JANTAR" — zaprasza na smaczne lody i rurki z kremem własnego wyrobu". Na myśl o lodach zrobiło mi się lodowato, rurki z kremem natomiast wprowadziły mnie w błogi nastrój. Oto kalorie, o których marzyłam!

Minęłam ogród z moknącymi na deszczu barwnymi parasolami, weszłam do parterowego pawilonu. Ogarnął mnie rozkoszny zapach kawy, wanilii i świeżego ciasta. Na bufecie wesoło syczał niklowy, ekspres, a sala była nabita do ostatniego miejsca.

Stałam chwilę ociekając deszczem. Szukałam wolnego miejsca. Niestety, w deszczowy dzień w „Jantarze" łatwiej znaleźć sto tysięcy, aniżeli jedno wolne krzesło. Pomyślałam, że zjem przy bufecie.

Zrzuciłam mokrą pelerynę. Powiesiłam ją na wieszaku. W tym momencie zwróciłam uwagę na dwa kapelusze. Wisiały na sąsiednich hakach jak dwa bliźniaki. Były to letnie kapelusze z beżowej popeliny z gęsto stebnowanymi rondami. Oba nowiutkie, jakby prosto ze sklepu i oba suche. Ich właściciele używali zapewne parasoli.

Myślałam, że dwoi mi się w oczach. Potem jednak zrozumiałam zwykły zbieg okoliczności. Dwaj panowie kupili kapelusze w jednej firmie. A teraz kapelusze wiszą obok siebie, jak gdyby umówiły się na spotkanie.

Zastanowiło mnie tylko: po czym można odróżnić takie dwa identyczne kapelusze? A zresztą, niech się o to martwią ich właściciele. Tak sobie pomyślałam, ale zerkałam w stronę wieszaka. Coś mnie niepokoiło, chociaż wtedy nie przypuszczałam jeszcze, że dwa kapelusze staną się największą sensacją letniego sezonu. Tymczasem spoczywały spokojnie na sąsiednich hakach, jak gdyby je zostawili bracia syjamscy.

Zamówiłam dwie rurki z kremem, usiadłam na parapecie okna, wzięłam „Przegląd Sportowy" i zaczęłam studiować tabelę dziesięciu najlepszych wyników lekkoatletycznych na świecie. Po chwili zupełnie zapomniałam o kapeluszach.

Naraz spostrzegłam, że ktoś podchodzi do wieszaka. „Wytworniś" — oceniłam go jednym spojrzeniem. Młody mężczyzna wyglądał, jakby go przed chwilą wycięto z londyńskiego żurnala: elegancki garnitur z szarej flaneli, śnieżnobiała koszula, granatowy jedwabny krawat, a wszystko spod igły najlepszego krawca. Przy tym mina lordowska, a spojrzenie zdobywcy Mont Everestu. „Przystojniak!" — śniady, ogorzały, włosy ciemne, krótko przystrzyżone z zabójczym przedziałkiem na boku. A w zębach krótka, pękata fajeczka. Jednym słowem, goguś, który zlazł wprost z ekranu.

Zanim zdążyłam lepiej mu się przyjrzeć, Goguś (tak go będę nazywać) sięgnął po kapelusz. Na chwilę jego ręka zawisła w powietrzu. Wahał się, który z dwóch zdjąć z wieszaka. Trwało to mgnienie oka. Potem zdecydowanym ruchem zdjął kapelusz wiszący bliżej drzwi wejściowych, przełożył go do lewej ręki, wziął stojący w kącie parasol i wolnym, niemal majestatycznym krokiem skierował się do drzwi.

Zapamiętałam każdy jego ruch, jakby to był film kręcony w zwolnionym tempie. Po chwili ujrzałam go w ogrodzie. Bez pośpiechu otwierał parasol. Kapelusz wciąż trzymał w ręku. Wydało mi się to nieco podejrzane. Po jakie licho wydawać forsę na kapelusz, żeby później nosić go w ręku? A może to należy do dobrego tonu?

Goguś tymczasem sprężystym i pełnym elegancji krokiem przemierzał ogród, a gdy znikł w bramie i skręcił w ulicę Jana z Kolna, widać było tylko czarny parasol sunący nad żywopłotem niby spadochron.

Wtedy do wieszaka zbliżył się drugi mężczyzna. Najpierw zobaczyłam jego wielką łysinę, potem szerokie plecy. Ubrany był bardzo niedbale: flanelowa koszula, na niej stara, wełniana kamizelka welwetowa, wytarte spodnie i rozczłapane trampki.

Wolno, ospale sięgnął po pozostały kapelusz. Chciał go włożyć, lecz nagle przyjrzał mu się uważnie. Obracał chwilę w pulchnych dłoniach, odwrócił dnem do góry, zajrzał do środka, a potem odsunął i powiedział głośno, dobitnie:

— Przecież to nie mój kapelusz.

We mnie coś drgnęło, coś podszepnęło mi, że zaczyna się niezwykła przygoda; oto kawiarnia nabita, a tylko ja jedna zauważyłam pomyłkę. Jegomość miał tak zabawną minę, jakby spadł z Marsa. Można było boki zrywać, lecz nie wypadało. Podeszłam, dygnęłam i powiedziałam:

— Proszę pana, widziałam jak przed chwilą jakiś pan zabrał wiszący obok kapelusz. Jeżeli pan chce, to wyskoczę. Może go jeszcze dogonię.

Łysy jegomość uśmiechnął się dobrodusznie.

— Będę ci bardzo wdzięczny, ale czy to warto... w taki deszcz.

— Głupstwo — powiedziałam i wybiegłam z kawiarni.

C.d.n.

Tak to już jest z dawien dawna, że — co kraj, to obyczaj. Różne są w różnych krajach zwyczaje, różne dni świąteczne — wszędzie się jednak święci nadejście Nowego Roku. I to święci się hucznie, wesoło, z nadzieją... Ale — co kraj to obyczaj. Więc Nowy Rok różnie jest witany w różnych krajach świata.

KAŻDE MIASTO MA SWOJĄ KRÓLOWĄ ŚWIATA!

W GRUDNIU każde szwedzkie miasto wybiera swoją Luczyję — „Królową świata". O tytuł ten mogą walczyć w konkursie wszystkie dziewczęta. Miejscowe gazety drukują po dziesięć fotografii wybranych kandydatek ze swojego miasta. I spośród tej dziesiątki wybiera się „królową".

Luczyja — czyli „królowa świata", stroi swoją głowę w specjalną koronę, na której migoczą płonące świeczki — i w takim niezwykłym stroju prowadzi przez ulice wesoły, noworoczny pochód. Trochę jak Mikołaj — szwedzka Luczyja rozdaje podarki dzieciom, chorym i staruszkom. A następnego dnia zdejmuję koronę — królową się zostaje tylko na jeden dzień.

DZBAN WODY

JUŻ PRZED północą mieszkańcy Hawany (Kuba) napełniają wodą dzbany. Kiedy wskazówka zegara wskaże nadejście Nowego Roku, wodę natychmiast wylewa się na ziemię. Oznacza to, że stary rok skończył już swoją służbę. Żegna się go wodą, wylaną z dzbana.

GÓRKI Z PIASKU

JUŻ na kilka dni przed Nowym Rokiem pojawiają się w Kambodży niezliczone ilości niewielkich górek z piasku. Sypie taką górkę każdy, kto wierzy w ich magiczną moc. Bo wedle starych kambodżańskich wierzeń każde ziarenko piasku ułożone w noworocznym wzgórku oznacza przebaczenie jednego złego uczynku. Wyobrażacie sobie, ile roboty z sypaniem górki musi mieć jakiś zbój?

A wszystko to się dzieje w... kwietniu, bowiem dzień Nowego Roku obchodzi się w Kambodży 12 kwietnia.

WYSTRZAŁ Z ARMATY

OD DAWIEN DAWNA w Iranie istnieje zwyczaj wymiany w Nowy Rok wszystkich glinianych naczyń. Stare, wysłużone wędrują na śmietnik, a na ich miejsce zjawiają się na półkach nowe naczynia. I tak jest co roku. Dlatego też, jeśli chce się o kimś powiedzieć, że jest biedny, mówi się, że ma w domu dwuletnie naczynia.

Dzień Nowego Roku święci się w Iranie 22 marca. Nadejście Nowego Roku obwieszczają w miastach wystrzały armatnie. Na placach i jarmarkach występują tego dnia wędrowni aktorzy i zręczni magicy. Przez wiele godzin trwają uliczne zabawy — przebierańcy skaczą przez ogniska, śpiewają, tańczą i opowiadają stare, perskie bajdy.

TANIEC Z TYKWĄ

ZULUSI, czarni mieszkańcy południowej Afryki, świętują Nowy Rok jako Dzień Urodzaju.

Całe plemię zbiera się w półkolu na wielkiej polanie. Ani jeden głos nie mąci uroczystej ciszy. I oto nagle na środek polany wbiega wódz plemienia. Wódz tańczy obrzędowy taniec, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze, a plemię czeka w skupieniu. W pewnej chwili wódz rzuca na ziemię dojrzałą tykwę. Tykwa rozpada się na części, a zuluskie plemię wznosi okrzyk radości. To znak, że właśnie się rozpoczął nowy rok.

PROCESJA TAŃCZĄCEGO LWA

W JAPONII rozpoczęcie Nowego Roku ogłasza ludziom dzwon — sto jego uderzeń rozlega się o północy we wszystkich miastach i wsiach. I nawet przez radio dzwon dzwoni sto razy.

Święto Nowego Roku trwa w Japonii długo. Przez trzy pierwsze dni Japończycy poszczą — jedzą tylko cienkie ryżowe placki. Za to dni następne pełne są radości i smakowitych uczt. Wyrusza też tradycyjna „procesja tańczącego lwa". Lew jest oczywiście nieprawdziwy — to czterej mężczyźni niosą wielką maskę, spowici w barwną tkaninę. „Lew" chodzi po domach i zbiera pieniądze.

Przed każdym zaś domem stoi jodełka związana z długim bambusowym prętem. Jest to symbol wierności i długiego życia.

Nad drzwiami — wiązka słomy opasana długą papierową taśmą. To obietnica dana bożkom — że czczeni będą należycie przez cały następny rok.

W mieszkaniach ozdoby z paproci, pomarańcz i komarów — co ma z kolei wróżyć długie i szczęśliwe życie.

Obchody Nowego Roku ciągną się w Japonii przez cały tydzień. Każdego z tych dni dziewczęta zbierają do bambusowych koszyczków „siedem wiosennych traw" — a wśród nich rzodkiewkę, seler, pokrzywę i brukiew. Siódmego dnia głowa rodziny gotuje zebraną zieleninę z ryżem — po czym podaje ją na śniadanie. Wątpimy, czy to jest smaczne — ale tradycyjne na pewno jest.

A na zakończenie noworocznych obchodów spala się wszystkie ozdoby, które upiększały z tej okazji domy i mieszkania. Na ulicę zaś wychodzą oddziały strażaków, niosąc na wysokich bambusowych drabinach wielkie, fantastyczne kukły. To znak, że koniec święta.

POWITANIE POMARAŃCZĄ

WIETNAMSKI Nowy Rok przychodzi w końcu stycznia albo na początku lutego. Data jego wypada różnie, bowiem w Wietnamie obowiązuje kalendarz księżycowy.

W dniu Nowego Roku Wietnamczycy obdarowują się tradycyjnie pomarańczami, urządzają sute przyjęcia, a wszystko to odbywa się wśród kwiatów, którymi zdobi się wszystkie domy.

A jak ty będziesz w tym roku witał Nowy Rok? Napisz nam. Może i w waszych miejscowościach są jakieś ciekawe noworoczne zwyczaje...

Książkę pt. ZŁOTY MEDAL W. Wiśniewskiego

Z AUTOGRAFEM MEDALISTÓW OLIMPIJSKICH

wylosować możesz, biorąc udział w sprzedaży premiowej zorganizowanej przez

WYDAWNICTWO HARCERSKIE

Warunkiem udziału w losowaniu jest nadesłanie w terminie do dnia 30 grudnia br. zamówienia na przynajmniej 3 spośród wymienionych niżej książek. Zamówienia prosimy przesyłać na kartkach pocztowych pod adresem: Wydawnictwo Harcerskie, Warszawa, ul. Konopnickiej 6 z dopiskiem „ZŁOTY MEDAL".

S. Borowiecki: ASTROEKSPEDYCJA	zł	10.—
P. Burchard: TROPAMI FOLKLORU	zł	8.50
B. Gajdeczkowa: CHATA ROBINSONA	zł	4.60
B. Gajdeczkowa: UWAGA! BAKTERIA!	zł	4.—
J. Kawka: SPORT W DRUŻYNIE	zł	12.50
S. Peterek: PŁYWAK	zł	5.—
S. Sosnowski: Z KSIĄŻKĄ DO LUDZI	zł	9.—
J. Stykowski: PALI SIĘ!	zł	4.60
ŚPIEWAJ Z NAMI (śpiewnik harcerski)	zł	25.—
W. Wiśniewski: NAJMŁODSI NA START	zł	8.—
W. Wiśniewski: ZŁOTY MEDAL	zł	10.—
M. Zimiński: JAK TO BYŁO Z MYSIĄ WIEŻĄ	zł	8.—
M. Zimiński: STO DNI POD BIEGUNEM	zł	10.50
M. Zimiński: SZATAŃSKA KSIĘGA	zł	8.—

Zamówienia realizowane będą w kolejności nadesłania za zaliczeniem pocztowym. Książki z autografami rozlosowane będą w dniu 30 grudnia br. i „szczęśliwym" przesłane pocztą.

ADAM BAHDAJ (2)

ZDAJE mi się, że był bardzo ambitny, bo zerwał się i ruszył na mnie z zaciśniętymi pięściami. Wystarczył jednak ledwo widoczny ruch nogi, żeby znowu zarył łuszczącym się nosem. Gdy wstał, roześmiałam się jeszcze głośniej:

— No, spróbuj!

Nie miał ochoty. Rzucił mi tylko przez zaciśnięte zęby:

— Nie masz pojęcia, z kim masz do czynienia.

— I ty też nie masz.

— Jestem najlepszym ornitologiem w klasie.

Zamurowało mnie. „Ornitolog! Cóż to takiego? Może niebezpieczny przestępca, albo... licho go wie!" Nie mogłam być ma dłużna.

— A ja jestem szefem gangu! — zawołałam. — Słyszałeś o Dziewiątce z Saskiej Kępy?

— Nie miałem przyjemności, bo mieszkam na Mokotowie.

— To ci powiem. Jestem Dziewiątka i mam pod sobą ośmiu takich, jak ty, szczeniaków, a każdy słucha mnie i czyści mi buty, rozumiesz?

— Mięta — powiedział. — Nie zaimponujesz mi. Ja w Wilanowie nad Wisłą znalazłem trzy gniazda remizów.

Do tej pory nie słyszałam nigdy o remizach, ani nie miałam przyjemności oglądać ich gniazd. Chłopiec uśmiechnął się kpiąco i wyjaśnił:

— Remizy, to ptaki, które nad wodą budują fantastyczne, wiszące gniazda. Jeżeli chcesz, to mogę pokazać ci zdjęcia. Sam je robiłem.

— Pokaż — powiedziałam już mniej zadziornie.

— Niestety, nie mam przy sobie, tylko w domu.

— Gdzie mieszkasz?

— Na Słowiczej, w „Marysieńce".

— To świetnie, wpadnę do ciebie, strasznie jestem ciekawa, jak wyglądają te gniazda.

— Mówię ci, fantastycznie.

— Jak ci na imię?

— Maciek.

— A tobie?

— Krysia, ale chłopcy nazywają mnie Dziewiątka.

— Dlaczego nie Siódemka?

— Bo w gangu było nas dziewięcioro, rozumiesz.

— Rozumiem.

Podniosłam z ziemi bursztyn.

— Masz, jeżeli ci tak na nim zależy.

Maciek odsunął się z respektem.

— Ależ nie, to głupstwo. Nie wiedziałem, że jesteś szefem gangu.

— Masz — powiedziałam. — Możesz nawet powiedzieć, że dostałeś ode mnie.

— Dziękuję ci bardzo, to będzie naprawdę miła pamiątka.

Przyjrzałam mu się dokładniej. Był rosły, zgrabny i miał żywe ogniki w oczach. Może nawet nadawałby się do mojego gangu na zastępcę szefa.

— Chciałbyś być w moim gangu? — zapytałam.

— Dziękuję. Jestem ornitologiem.

— A cóż to takiego?

— Zajmuję się ptakami.

— To musi być nudne. Zastanów się. Zrobimy tutaj bandę. Będzie fantastyczna zabawa.

— Ja wolę ptaki — odparł z uporem.

(Ciąg dalszy na str. 11)